NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 doł. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) Telefon Nr. 479.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy. — 15 kop. — 32 fen.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Rok IX. | Kraków, 20 lipca 1912. | Nr. 29.

Na wulkanie Europy.

(Treść na str. 2).



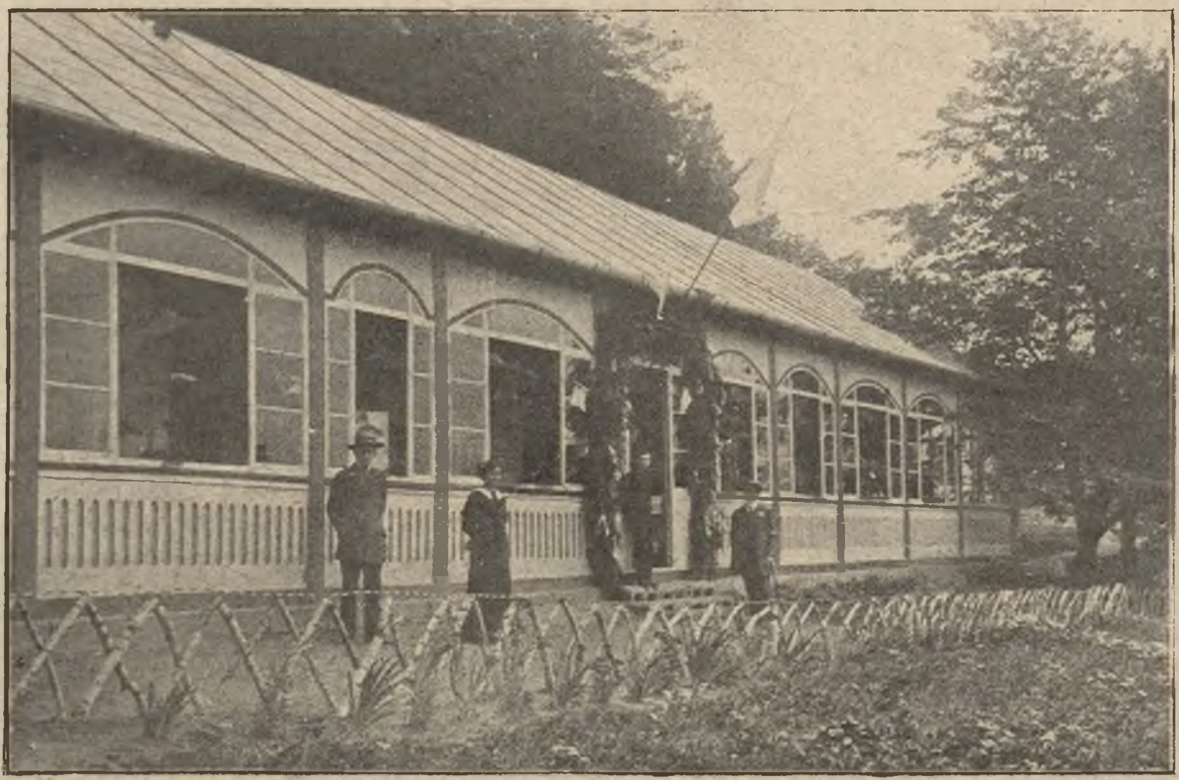
Nr. 29. „Nowości Illustrowanych“ zawiera: Obchód grunwaldzki w Krakowie. — Walka z gruźlicą. — Z Trypolisu. — Władca bez władzy. — Ekspedycya na strzelnicy. — Dla zdrowia młodego pokolenia. — Katastrofa automobilowa. — Wystawa rzemieślnicza w Łodzi. — Symptomy wojenne. — Igrzyska olimpijskie w Sztokholmie. — Przedpotopowe olbrzymy. — Rzadka operacya dentystyczna. — Nowy polski szef szkoły. — Czterdziestolecie rzeszowskiej straży ogniowej. — Konkurs gimnazyalistów strzelców. — Wycieczka koncertowa krak. Chóru akademickiego.

Na wulkanie Europy.

(Do illustracyi tytułowej).

Najczulszym punktem polityki europejskiej są Bałkany. Tam, pomimo nawet względnego spokoju, w chwili dla Turcyi najkrytyczniejszej, gdy państwo to musi prowadzić trudną, bądź co bądź, wojnę z Włochami, a przytem przechodzi obecnie ciężkie przesilenie wewnętrzne, grożące rewoltą wojskową...

W takich warunkach obecna pożoga albańska cznym Europy. Jest ono najzupełniej uzasadnione. Choć mocarstwa usiłowały wojnę włosko-turecką zlokalizować w Trypolisie, jej iskry musiały przedostać się i na wulkan bałkański. Walki w Albanii, z których jeden epizod przedstawia nasza tytułowa



Walka z gruźlicą: Nowy pawilon sanatoryum w Hołosku Wielkiem pod Lwowem. (Fot. M. Münz, Lwów).



Walka z gruźlicą: Ks. Anioł odprawia nabożeństwo w nowym pawilonie sanatoryjnym w Hołosku Wielkiem. (Fot. M. Münz, Lwów).

dymi się ciągle niebezpieczny dla pokoju europejskiego wulkan. Dziś wybuchł on znowu groźnym ogniem powstania Albańczyków. Wojowniczy ten naród niejednokrotnie już chwytał za broń, a Turcyi z trudem tylko i z wielkiemi ofiarami udawało się tłumić te mniej lub więcej krwawe bunty.

I rządy młodotureckie nie zdołały przejednać Albańczyków, pomimo poczynionych im ustępstw. Albania stanęła znowu w ogniu walk powstańczych, może mieć nieobliczalne następstwa i dla Turcyi i dla Europy... Niebezpieczeństwo wojny włosko-tureckiej tkwiło właśnie w tem, iż mogła ona stać się iskrą, która zapaliłaby i wulkan bałkański. Dziś już krater albański zaczyna ziać ogniem walk powstańczych, a polityka międzynarodowa zaczyna tworzyć notowane przez prasę horoskopy co do podziału Turcyi... Choćby były one jeszcze przedwczesne, świadczą jednak o groźnem napięciu w świecie polity- illustracya, są właśnie dowodem tego faktu, groźnego zarówno dla Turcyi, jak i dla pokoju europejskiego.

Walka z gruźlicą.

Jedną z najstraszniejszych klęsk współczesnych jest niewątpliwie gruźlica. Straszna ta choroba dzie-



Obchód grunwaldzki w Krakowie: Uczestnicy pochodu przed trybuną na Wawelu.

siątkuje ludzkość, a wobec jej śmiertelnego żniwa schodzą na drugi plan najgroźniejsze epidemie. To też walka z gruźlicą jest obecnie najpilniejszym obowiązkiem zarówno państw, jak i samego społeczeństwa. Powstają też instytucye i stowarzyszenia, których celem jest właśnie zwalczanie gruźlicy przez akcyę ochronną i przez tworzenie odpowiednio urządzonych sanatoryów dla dotkniętych tą chorobą. We Lwowie misyę tę spełnia „Towarzystwo walki z gruźlicą“, które w roku ubiegłym powołało do życia sanatoryum przeciwgruźlicze w Hołosku Wielkiem, gdzie wybudowano obecnie drugi pawilon. W tych dniach właśnie odbyła się uroczystość poświęcenia nowego pawilonu lecznicy. Aktu poświęcenia dopełnił ks. Anioł w obecności przedstawicieli władz, wiceprezydenta miasta Lwowa, dra Rutowskiego, licznego grona lekarzy oraz zaproszonych gości.

Po przemówieniach ks. Anioła, dra Wiczkowskiego (imieniem „Tow. walki z gruźlicą“) i dra Rutowskiego (imieniem stolicy kraju), goście zwiedzili szczegółowo zakład.

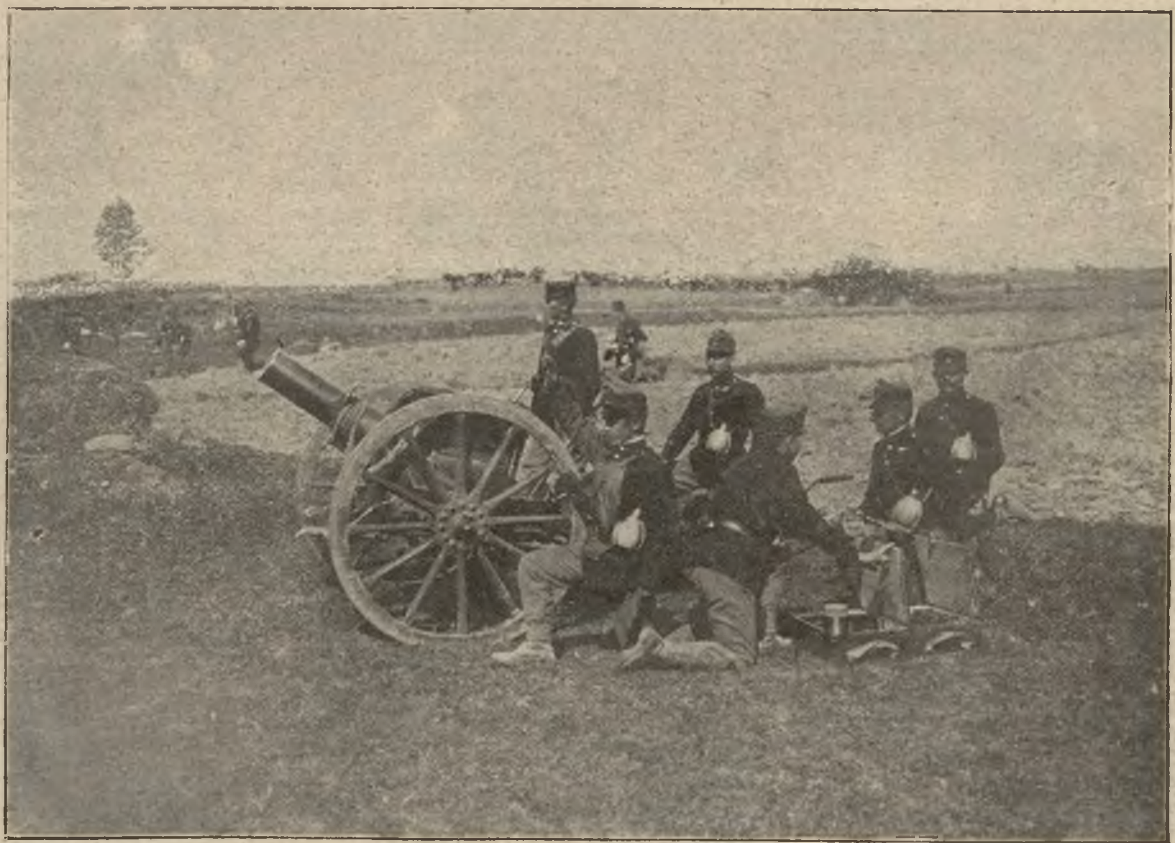
Nowy pawilon, który przedstawia nasza illustracya, jest przenośny, zbudowany według znanego systemu inż. Frommera. Może on pomieścić 18 chorych.

„Tow. walki z gruźlicą“ ma zamiar, skoro tylko środki materyalne pozwolą, przystąpić do budowy nowych pawilonów sanatoryjnych.

Obchód grunwaldzki w Krakowie.

Po wspaniałym obchodzie przed dwoma laty 500-ej rocznicy Grunwaldu „Straż Polska“ postanowiła corocznie święcić w Krakowie tę wiekopomną rocznicę. Uroczysty obchód grunwaldzki odbył się w ubiegłą niedzielę, a miał przebieg bardzo podniosły.

Uroczystość rozpoczęła się w kościele N. P. Maryi nabożeństwem, na którem byli obecni przedstawiciele Rady miejskiej z prezydentem drem Leo i wiceprezydentem drem Szarskim, delegacye cechów krakowskich i licznych stowarzyszeń, Sokoli, straż ogniowa i liczna publiczność. Po nabożeństwie uformował się barwny pochód na Wawel, gdzie przed mównicą, ustawioną na dziedzińcu zamkowym, odbył się pod gołem niebem wiec oświatowy. Pierwszy przemawiał prezes „Straży Polskiej“, prof. Tadeusz Grabowski, następnie poseł Witos i p. Stróżyński, imieniem krakowskich rękodzielników.



Eksplozya na strzelnicy: Nowy typ austryackich haubic, z których jedna uległa katastrofie w Oerkeny pod Budapesztem.

Po przemówieniach na dziedzińcu pochód ruszył do katedry, gdzie złożono liczne wieńce (od „Straży Polskiej“, od „Dzieci poznańskich“ i inne) na sarkofagach Władysława Jagiełły i królowej Jadwigi.

Illustracya nasza przedstawia wiec na dziedzińcu wawelskim ze stojącemi na froncie delegacyami.

Dla zdrowia młodego pokolenia.

Celem pobudzenia szerszych warstw pedagogicznych do propagowania wśród młodzieży racyonalnego ruchu fizycznego, bez ujemnych następstw nieumiejętnie i jednostronnie uprawianych sportów, zarząd Tow. zabaw ruchowych we Lwowie podobnie, jak lat ubiegłych, urządził i tego roku wakacyjny kurs dla kierowników gier i zabaw ruchowych.

Tegoroczny kurs zgromadził 51 uczestniczek i uczestników, a wśród nich 5 Sióstr z Zakonu



Dla zdrowia młodego pokolenia: Uczestniczki i uczestnicy kursu dla kierowników gier i zabaw, urządzonego przez Tow. zabaw ruchowych we Lwowie. W pośrodku wiceprez. Rady szkolnej kraj. Dr. Dembowski. (Fot. M. Münz, Lwów).



Z Trypolisu: Pogrzeb żołnierzy włoskich, zabitych wybuchem granatu.

S. S. Urszulanek, 7 profesorów gimnazyalnych, 37 nauczycielek i nauczycieli ludowych, oraz 2 nauczycielki gimnastyki. Kurs trwał dni 6 i obejmował część teorytyczną t. j. wykłady — i praktyczną, t. j. ćwiczenia na wolnym powietrzu. Wykłady odbywały się codziennie w I szkole realnej.

Otwarcia i zagajenia kursu dopełnił wiceprez. Rady szkolnej kraj., a zarazem prezes Tow. zabaw ruchowych dr. Dembowski.

Na część teoretyczną kursu złożyły się wykłady: „O pierwszej pomocy w nagłych wypadkach", o hygienie i dyetetyce gier i zabaw ruchowych, dalej wykłady z zakresu sportów zimowych i turystyki z obrazami świetlnymi, o umiejętnem oddychaniu, racyonalnym treningu i t. p. Prócz tego odbywały się praktyczne ćwiczenia w lekkiej atletyce, oraz gry i zabawy, codzień prowadzone wzorowo przez 3 fachowych instruktorów.

Na zakończenie kursu odbył się egzamin, oraz wręczenie świadectw i subwencyi, udzielonej przez Radę szkolną krajową, która celom wychowania fizycznego nigdy wsparcia nie szczędzi.

Zgromadzonych uczestników i uczestniczki kursu pożegnał na zakończenie w serdecznych słowach dr. Władysław Hojnacki, wiceprezes Tow. zabaw ruchowych.

Z Trypolisu.

Włochów w Trypolisie prześladują ciągłe niepowodzenia. Nie tylko muszą oni staczać walki z zawziętym wrogiem, i za wątpliwe zdobycze (wązki pas wybrzeża morskiego) płacić codziennemi ofiarami na polu bitwy, — ale giną nawet od własnej broni! Niedawno skutkiem eksplozyi granatu — kilkunastu żołnierzy włoskich w Trypolisie straciło życie, lub odniosło ciężkie rany...

Smierć na wojnie jest rzeczą zwykłą i nie sprawia już wrażenia. Setki i tysiące idą w zapasy z nieprzyjacielem, aby więcej nie wrócić... Wśród towarzyszów broni większe też współczucie wywołał tragiczny zgon skutkiem przypadkowego wybuchu.

To też ofiarom tego nieszczęśliwego wypadku, które znalazły śmierć nie na pustyni, w wirze walki, lecz we własnym obozie, sprawiono bardzo uroczysty pogrzeb, który przedstawia właśnie nasza illustracya...

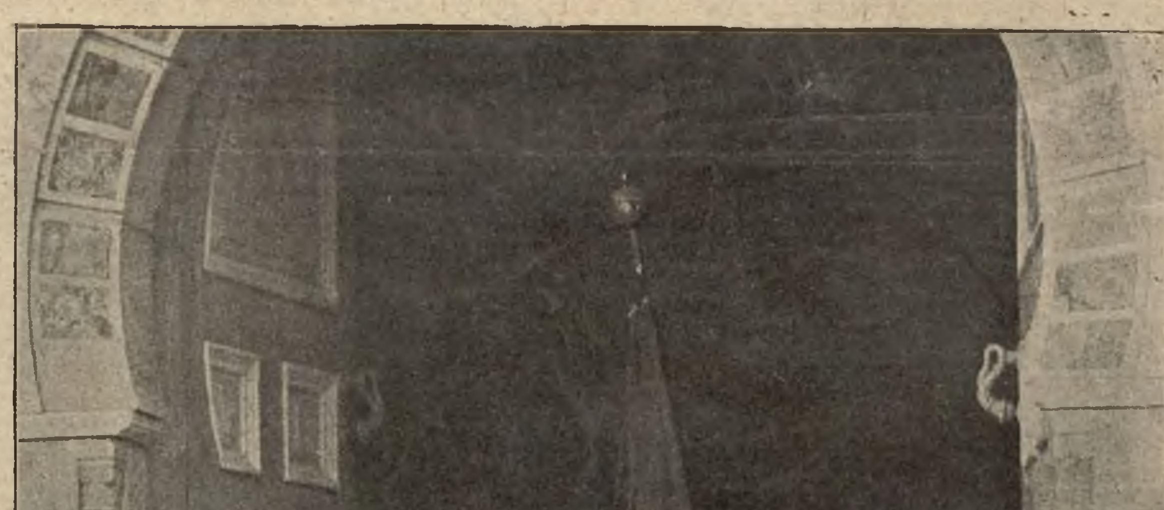
Mała to jednak pociecha dla nieszczęsnych ofiar wojny.

Władca bez władzy.

Arabowie nie mają powodu do zbytniego zadowolenia ze swych „panujących"... Gdy szczepy arabskie, zaludniające północną część Afryki, wciąż buntują się przeciw narzuconej im opiece Europejczyków, a w Trypolisie walczą z takiem bohaterstwem przeciw najazdowi włoskiemu, ich „władcy": sułtan marokkański i bej Tunisu — są posłusznymi pionkami Francyi, która tymi krajami *de facto* zawładnęła... Zwłaszcza w Tunisie, który od r. 1881 stracił właściwie niepodległość, Francuzi gospodarzą, jak u siebie w domu, pozostawili jednak „władcy" tego kraju, zwanemu bejem, wszystkie godności i honory. Ludność Tunisu może więc pocieszać się, że choć straciła niezależność, ma jednak swego beja, którego z królewskimi honorami przyjmują w Paryżu...

Właśnie w tych dniach obecny bej Tunisu, Sidi Mohamed en Nasser przybył do stolicy Francyi, podejmowany uroczyście przez prezydenta i rząd republiki. Jest on mężczyzną już nie młodym, liczy bowiem 57 lat, wygląda jednak, jak to widzimy na naszej illustracyi, dość czerstwo i zdrowo. I nic dziwnego: króluje bez żadnych kłopotów, bo Francya nie pozwala mu się trudzić i sprawuje za niego rządy.

Sidi Mohammed en Nasser czuje się też niewątpliwie daleko lepiej w Paryżu, niż u siebie w domu, gdzie często spotyka się z objawami niezadowolenia własnych „poddanych".



Władca bez władzy: Bej Tunisu, Sidi Mohammed en Nasser, przed swym pałacem w stolicy kraju.

Królewiacy

przez

Artura Gruszeckiego.

26)

— Podaliśmy jednak rekurs za radą radcy Terlikowskiego.

— Pomimo tego zapłacić trzeba, a jeśli rekurs uwzględnią, to zwrócą nadwyżkę, co jednak nader rzadko się przytrafia.

— Cóż robić, jeśli trzeba zapłacić, to się zapłaci, — westchnęła Czajkowska, a widząc uroczystą minę i odświętny strój gościa, dodała:

— Czy wybiera się pan dzisiaj na premierę?

— Nie, a właściwie tak, — uśmiechał się znacząco.

— Co znaczy ta zagadka? — spytała Irena.

— Tak, zagadka, której rozwiązania oczekuję od pani.

— Nie lubię zagadek, szkoda mózg wysilać na ogólnie znane rzeczy, mnie tylko w danej chwili niewiadome. Mamo, czy nie mówił Romek, kiedy wróci?

— Nie pytałam go. A co ci na tem zależy?

— Chciałam z nim pójść na spacer. Z wiosną bywa duszno w pokoju, — szła otworzyć okno.

— Irenko, uważaj, może panu to zaszkodzi.

— Proszę, otwórz pani, — zawołał pospiesznie, — to złośliwość doktora, jakobym był chorowity, a jestem zdrów i silny. W Zakopanem chodziłem na wycieczki.

— Był pan na turniach? — ożywiła się Irena, — jakżebym chciała tam być!

— Co prawda, na turniach nie byłem, tylko na bliższych wycieczkach, i nie widzę w tem żadnej przyjemności, męczyć się, drapać się po górach z narażeniem życia, ażeby zobaczyć kamienie, które i z dołu widzę.

— Ale czyż pan nie rozumie tej rozkoszy oczu, gdy patrzą na taki bezmiar świata? Mamo, musimy być w Zakopanem, chociażby na kilka dni.

— Pogadamy o tem, Irenko, mamy czas.

— Ach, jaka z mamy już Krakowianka, — zaśmiała się, — tu wszyscy na wszystko mają czas.

— Tak źle nie jest, panno Ireno, my znamy wartość czasu i wiemy, kiedy trzeba się spieszyć, a kiedy pracować systematycznie.

— Nigdy jeszcze nie widziałam pana spieszącego się, — zaśmiała się Irena, — i czy to zdarza się panu?

— Hm... spieszyć się... naturalnie, nie biegnę jak mały chłopak, ale wiem, że zwłoka w pewnych sprawach jest szkodliwa.

— A w jakich? — spytała obojętnie Irena.

— Są to sprawy bardzo delikatne, uczuciowe, że tak powiem, i w nich pospiech jest wskazany.

— Pan mówi dziś tak zawile, tajemniczo... co panu jest?

— Cieszy mnie, że pani dostrzegła tę zmianę we mnie. Przyszedłem tu istotnie w sprawie nader ważnej, nie tylko dla mnie, ale i dla państwa, — spojrzał na Czajkowską.

Te słowa zwróciły uwagę Ireny na gościa, zauważyła jego uroczystą minę, niezwykłe wystrojenie się, a jego zagadkowe frazesy nasunęły jej podejrzenie, że Maryewski zamyśla się oświadczyć. Ta myśl sprawiła jej przykrość, bo przecież niemiłą jest rzeczą odtrącać czyjeś uczucia i zamieniać przyjaznego człowieka na niechętnego i obrażonego. Postanowiła nie dopuścić do oświadczyn i zaczęła opowiadać z wielkiem ożywieniem o swej pracy historycznej, o kłopotach i trudnościach przy wyszukiwaniu źródeł, o profesorach i kolegach.

Maryewski wszystkiego wysłuchał cierpliwie, a gdy skończyła, powiedział:

— Zapał pani i mnie się udziela, kiedyś pracowałem nad historyą, i teraz możemy wspólnie pracować.

— Jak to pan rozumie? — spytała matka.

— Przekonałem się, że życie, jakie dotychczas prowadziłem, jest bezcelowe i smutne, bo brakuje w niem promienia szczerego uczucia... a widząc w pannie Irenie tak wielkie zalety ducha i charakteru, będę się uważał za szczęśliwego, jeśli pani, jako matka, pozwoli mi prosić o rękę córki, a pani, panno Ireno, raczy łaskawie przyjąć oświadczenie mej szczerej miłości i szacunku.

Irena poczerwieniała i spuściła oczy, namyślając się nad doborem słów odmowy, a Czajkowska, zaskoczona niespodziewanemi oświadczynami, powiedziała niepewnym głosem:

— Słowa pana są dla nas zaszczytne, ale przyszły tak nagle... musimy się porozumieć i z Ireną, i z Romciem...

— Ależ, proszę pani, panna Irena może rozstrzygnąć to w dwóch słowach... Znacie mnie przecież państwo, wiecie kto jestem, i pani, — patrzał na matkę, — nie powinna mieć żadnych obaw co do przyszłości córki, gdyż prócz pensyi wdowiej, zastrzegę dla niej w razie bezdzietności pewien stały dochód z kamienicy, ażeby bez ujmy dla stanowiska i pozycyi socyalnej żyć mogła.

— To są rzeczy mniejszej wagi; małżeństwo musi się opierać na wzajemnej miłości, a my tak mało znamy pana... może później... przy bliższem poznaniu...

— Moja mamo, — odezwała się nagle Irena, — dlaczego z panem Maryewskim nie mamy być szczere?

— Właśnie o to proszę, i wiedziałem, że pani rozstrzygnie, — uśmiechnął się słodko.

— Otóż, szczerość za szczerość. Pan powiedział otwarcie swoje żądanie, a ja odpowiem panu szczerze, spodziewając się, że moje słowa nie osłabią w niczem naszej przyjaznej znajomości z panem. Nie mam wcale zamiaru na razie iść za mąż, gdyż małżeństwo unicestwiłoby moje plany przyszłości i skrępowałoby moją indywidualność. Dziękuję panu za ten dowód zaufania, ale możemy przecież żyć w przyjaźni, bez tych uczuć egoistycznych zamykania się we dwoje w czterech ścianach.

Maryewski przybladł i patrzał z gniewnem zdumieniem na obie niewiasty. Poprawił się w krześle i właśnie zamierzał dać folgę swemu oburzeniu, gdy nagle w przedpokoju zabrzmiał ostry dzwonek.

— To pewno Roman zapomniał klucza od zatrzasku, — poruszyła się matka.

— Otworzę, mamo, — poszła szybko Irena do przedpokoju i Maryewski posłyszał przywitanie:

— A, ciocia... i Klimcia... mamo, to prawdziwa niespodzianka!

Maryewski wstał zmieszany, radby się był ukryć, zapaść pod ziemię, ale względy towarzyskie nakazywały mu zostać jeszcze czas jakiś w towarzystwie, zwłaszcza, że to była pani radczyni.

Po serdecznem przywitaniu się z Czajkowską, zwróciła się radczyni z uśmiechem przyjaznego zdziwienia do Maryewskiego:

— Znów spotykamy się z panem adjunktem, to szczególne, nieprawdaż?

— Mieszkam w sąsiedztwie, — skłonił się Maryewski, — cóż dziwnego, że bywam u łaskawych sąsiadów?

— Mogę tylko powinszować ci, Sabinko, tak miłego sąsiedztwa, — siadła na kanapie, a Klimcia podając rękę Maryewskiemu, uśmiechnęła się:

— Wygląda pan dzisiaj interesująco i uroczyście. Czy otrzymał pan awans? — spadek może?

— Wcale nie wyglądam uroczyście, — odpowiedział rozdrażniony, — jestem jak zwykle.

Dosłyszała to radczyni i zawołała ze śmiechem:

— No, zwykle nie chodzi pan w anglezie. Może tu są jakie imieniny, a my przyszłyśmy tak nie w porę. Sabinko, obchodzicie imieniny, czy urodziny?

— Ani jedno, ani drugie. Nie widziałam cię tak dawno, Paulisiu, co u ciebie słychać? co z Jasiem?

— O niego powinnaś być spokojna, — zaśmiała się złośliwie, — przecież onegdaj odprowadzał Irenę.

— To prawda, nie widziałam go jednak, spieszył się do pracy.

— No, praca to lekka, — odezwała się Klimcia, — ojczulek spieszył się na piwo. Czy pan adjunkt także bywa na piwie?

— Pozory mylą, — odpowiedział kwaśno, — i chociaż staro wyglądam, jestem jeszcze za młody na wysiadywanie przy piwie.

— Któż to mówi, że pan adjunkt staro wygląda? — zawołała radczyni, — pan naprawdę taki młody i dziś doskonale pan wygląda.

Słowa te mile pogłaskały Maryewskiego, lecz gdy wspomniał na otrzymaną rekuzę, — rzekł z goryczą i z wyraźną intencyą dokuczenia Irenie:

— Nie wszyscy patrzą tak bezstronnie i są tak łaskawi na mnie, jak pani radczyni dobrodziejka. Są kobiety, które przenoszą podtatusiałych, utytułowanych dożuanów nad ludzi młodych i szczerze im oddanych.

Radczyni zabłysły oczy. Przeczuła, że tu rozegrała się jakaś scena niemiła dla Maryewskiego. Kogo on miał na myśli, mówiąc o tym starym, utytułowanym? Tu przecież nikt taki nie bywa. Chyba, że w ostatnich czasach złapali Czajkowscy jakiegoś konkurenta. Zostawiając sobie na później zbadanie tej sprawy, zwróciła się z wdzięcznym uśmiechem do niego, mówiąc:

— To wina pana, panie adjunkcie; dlaczegóż pan umieszcza swe serce na tak niepewnej hipotece. Pan, jako sądownik, powinien być ostrożny i pamiętaj pan o przysłowiu: kochaj się daleko, a żeń się blizko.

— Nie chcę się ani kochać, ani żenić, — odparł energicznie, — i bardzo żałuję, że muszę opuścić tak miłe towarzystwo, ale istotnie obiecałem znajomym odwiedzić ich dzisiaj.

— Proszę, zostań pan, — mówiła radczyni, — czyż to my wypłoszyłyśmy pana? czy to ładnie tak uciekać od nas?

— Pani radczyni powiedziała mi jedno przysłowie, a ja odpowiem drugiem: gdzie cię radzi widzą, bywaj rzadko, a gdzie niechętnie, nigdy. Czy tak, panno Ireno? — patrzał surowo na nią.

— Radzi? nie radzi? to czysto subjektywne uczucia, o których drugi człowiek może mieć zupełnie odmienne wyobrażenie, — odparła Irena spokojnie.

— To cukierek, ale nie tak słodki jak te, które pani dostała od doktora.

Klimcia z matką zamieniły wymowne spojrzenie.

— Irenko, czy istotnie tak słodkie były cukierki doktora? — spytała z miną niewinną Klimcia.

— Spróbuj, mam jeszcze, — podeszła Irena do drzwi drugiego pokoju.

— Nie, nie! — zawołała Klimcia, — nie chcę krzywdzić ciebie i robić przykrości doktorowi, który ofiarował je tylko tobie.

— Słusznie się pani domyśla, — powiedział Maryewski złośliwie, — kupując te cukry, mówił mi doktor o tem. I żegnam państwo.

Ostentacyjnie ucałował rękę radczyni, ledwie dotknął ustami ręki Czajkowskiej, a Irenie rzekł na pożegnanie:

— Życzę pani szczęścia i powodzenia przy zdobywaniu... niepewnej przyszłości, — następnie zwrócił się do Klimci: — z panią, do widzenia, przekonałem się, że nie należy szukać szczęścia za górami, za lasami, ale wśród swoich, — patrzał tryumfująco na Irenę.

— Co się tu stało? — zawołała radczyni, gdy zamknęły się drzwi za Maryewskim, — powiedz mi, Sabinko, takam ciekawa.

— Ale nic... przyszedł zaledwie kwadrans przed wami, był jakiś podniecony, mówił zagadkowo i na to przyszłyście.

— O, nie, ciociu, — zaśmiała się Klimcia, — za dobrze go znamy. On pewno się oświadczył, albo może pytał o posag i rozczarował się. Tak rozgniewanego jeszcze go nie widziałam. Niechże nam ciocia powie, jak to było.

— Klimeczko, dajże spokój, — upomniała matka, — u ludzi, nie tak jak u nas, bywają pewne tajemnice, zajścia, przykrości, o których się nie mówi nawet najbliższej rodzinie, bo jak to mówią, brudy pierze się w domu.

Pocisk był dobrze wymierzony i Czajkowska powiedziała twardym głosem:

— Nie mamy żadnych tajemnic, nie tylko przed wami, ale przed całym światem. Istotnie, pan Maryewski oświadczył się o Irenkę, ale, że ona go nie kocha, więc odmówiła mu.

— A, domyślałam się tego, — zaśmiała się radczyni, — i było też co ukrywać! a ty, Irenko, bardzo dobrze zrobiłaś, że nie kochając, odmówiłaś mu. Prawda, że pozycyę ma, nie jest bez grosza, ale on należy do innego świata. Tybyś się zanudziła wśród sędziów i radców, co, Irenko?

— Nie wiem, ciociu, nie znam tego świata.

— No, no, Klimeczko, czy to nie dziwne... Irenko, a co z tym doktorem? co znaczą te cukierki?

— Do jedzenia, ciociu, nic więcej.

— Jednak Maryewski mówił o nich z takim przekąsem.

— A, niech mówi.

— Moja Sabinko, kto u was bywa prócz Maryewskiego i doktora?

— Nikt, tylko wy jeszcze.

— Ale z mężczyzn, nie bywa kto starszy, człowiek utytułowany, może bogaty?

— Nie, nikt, jeden Jaś.

— Ach... rozumiem... — zacięła usta.

— Co mówisz, Paulisiu?

— Nic, nic... Czy masz teraz dobrą służącę? jak gotuje?

Przez jakiś czas toczyła się rozmowa o gospodarstwie domowem, o sługach, o cenach, wreszcie wstała radczyni i pożegnała się, zapraszając serdecznie Sabinę i Irenkę do siebie.

Gdy były już na ulicy, Klimcia powiedziała, uśmiechając się:

— Jednak dostał odkosza.

— To dobra nauczka dla niego. Zdawało mu się, że byle rękę wyciągnął, a u każdego palca zawiesi mu się po kilka panien, aż tu nagle kosz! — zaśmiała się radczyni. — Teraz on zmięknie i inny będzie.

— Jednak, mameczko, ta Irenka ma szczęście.

— Jak każda kokietka. Nie posądzałam jej je-

dnak o taki brak serca. Kokietuje, wabi, robi słodkie oczy, a potem tryumfuje złośliwie. To niebezpieczna dziewczyna, i nie życzę jej nic złego, ale to się skończy fatalnie. Pójdzie złą drogą.

— A co mameczka myśli o doktorze?

— Ja w tej sprawie mam swoje przekonanie, jestem pewna, że Maryewski musiał stawiać warunki poważne, uczciwe, odpowiadające jego pozycyi...

— Jakie, mameczko?

— Żeby rzuciła uniwersytet, nie włóczyła się z kolegami, przestała flirtować i bałamucić mężczyzn na wszystkie strony. A że Irena ma przewrócone w głowie, — odpowiedziała mu szorstko i on się cofnął. Zobaczysz, że to wyjdzie na wierzch, chociaż one się chwalą, że odprawiły go z niczem.

— To bardzo możliwe, mameczko, bo on wspominał o jakimś starszym podtatusiałym mężczyźnie.

— Ach, ten! to także ofiara kokieteryi tej podłej Warszawianki, — powiedziała z twarzą gniewną i zawziętą, — ona głupia myśli, że ma doktora w saku, ale ten wyśliźnie się jej napewno, jak to zrobił już tyle razy z mądrzejszemi od niej.

— Ja sądzę, mameczko, że wypada nam zaprosić Maryewskiego. Należy mu się to po doznanej przykrości ze strony Ireny.

— Masz słuszność. Wprawdzie nie jestto nasza wina, ale bądź co bądź, on zbliżył się do nich tylko jako do krewnych twego ojca i musimy zapobiedz możliwym jego pretensyom.

— Byle tylko ojczulek zręcznie to zrobił, — westchnęła Klimcia.

— Już ja się postaram o to. — oświadczyła twardo matka. — A co on ci mówił, Klimeczko, przy pożegnaniu? bo dobrze nie słyszałam.

— On powiedział z wielkiem wzruszeniem: przekonałem się, że nie należy szukać szczęścia za górami, za lasami, ale wśród swoich.

— Wiesz, jak na Maryewskiego, to nadzwyczajnie czule.

— Powiedział mi przytem: do widzenia, i znacząco uścisnął rękę.

— Dlaczegóż mi wcześniej o tem nie powiedziałaś? Naturalnie, musimy prosić Maryewskiego chociażby na jutro, to niemal wyraźne oświadczyny.

— No, tak dalece, mameczko, to nie, — uśmiechnęła się zadowolona.

— Nie wstydź się, moje dziecko, wiedziałam, że prędzej, czy później, pozna się on na tobie.

XX.

Jednego dnia wieczorem, gdy Roman wracał z fabryki, zauważył jakiegoś mężczyznę licho ubranego i dostrzegł jego twarz wynędzniałą, zapadłe policzki, a oczy silnie podkreślone patrzały na niego smutno, niemal beznadziejnie.

Gdy go minął, miał wrażenie, że gdzieś, kiedyś znał tego człowieka. Odwrócił się i znów spotkał się z tym smutnym wzrokiem. Szedł dalej, usiłując przypomnieć sobie, gdzie widział tego człowieka. Na skręcie ulicy posłyszał tuż za sobą ciche, przejmujące wołanie:

— Panie Czajkowski!

Brzmienie tego głosu było mu znane, przystanął i wpatrzył się badawczo w tę bladą twarz.

— Pan mnie nie poznaje?... Tomasz Ryś... z fabryki... pamięta pan?

— To wy? — podał mu rękę. — Co się z wami dzieje? co tu robicie?

— Jestem tu, szukam pracy... wszyscy mnie odprawiają, bo myślą, że zemrę.

Romana, który przed chwilą rozmyślał o swojem szczęściu z Manią i widział przyszłość swoją jasną i piękną, głęboko wzruszył widok tego nędzarza, którego znał w Warszawie jako dzielnego, pracowitego i wesołego robotnika.

— Dawno przyjechaliście tutaj? — szedł z nim razem w stronę domu.

— Nie przyjechałem, przywlókłem się. Uciekłem z Pawiaku.

— Za co was aresztowano?

— Broniliśmy naszej drukarni. Groziła nam szubienica. Uciekliśmy we trzech, dwóch złapano, a ja umknąłem.

— Wasze szczęście, — mruknął Roman.

— Lepiej mi było zostać w Pawiaku, aniżeli tak się męczyć.

Roman posłyszał krótki, świszczący oddech i rzekł ze współczuciem:

— Może idę za prędko, to was męczy.

— A męczy; ale zawszem rad, że choć jedną dobrą duszę spotkałem na tem odludziu.

Roman widząc jego osłabienie, skinął na dorożkę i przywiózłszy go do domu, — rzekł do matki:

— To mój dawny znajomy, mamo, Tomasz Ryś, szuka pracy.

Przybyły ucałował rękę Czajkowskiej mówiąc:

— Znam panią i panienkę, — spojrzał na wchodzącą Irenę.

— Siadajcie, proszę was, — wskazała krzesło, — znacie nas?

— To ja przyszedłem w nocy do pani z wiadomością, że syn pani w cyrkule.

— A, pamiętam. Ale, jak się pan zmienił!

— To nie ja, bieda mnie zmieniła, — uśmiechnął się z przymusem.

— Towarzyszu, napijcie się herbaty, — powiedziała Irena, — i nie czekając jego odpowiedzi, wyjęła z bufetu zimne mięso, chleb, masło i poszła ze szklanką do kuchni.



— Z panią do widzenia, przekonałem się, że nie należy szukać szczęścia za górami, za lasami.

Po chwili wróciła i podsuwając mu jedzenie, mówiła:

— Proszę was, jedzcie towarzyszu.

— Jaki ja tam towarzysz! — wzruszył ramionami, — rozpędzili nas, wygnietli, a teraz nędzarz ze mnie, roboty nie mam.

Stopniowo opowiedział swoją historyę i usiłowania otrzymania pracy w Krakowie. Czajkowscy wiedzieli z doświadczenia, jak trudno znaleźć zajęcie zdrowemu i zasobnemu, a cóż dopiero biedakowi tak osłabionemu i wynędzniałemu, iż na pierwszy rzut oka każdyby go zakwalifikował raczej do szpitala, jak do roboty.

Ogarnęło ich tem większe współczucie dla niego, i Czajkowska znalazła zbędną bieliznę i znoszone ubranie Romana, które mu ofiarowała.

— Postaram się, Tomaszu, o pracę dla was, — pocieszał go Roman, — ale wpierw musicie się wzmocnić, mieć siły, bo trudno wam będzie młot podnieść.

— Ja to wiem, ale jak żyć? Na żebry nie pójdę.

— To prawda, — mówił Roman, — ale słyszałem, że są tu jakieś stowarzyszenia pomocy dla wychodźców, dowiem się.

— Towarzyszu, ja wam pożyczę, — powiedziała zarumieniona Irena, — mam trochę zaoszczędzonych pieniędzy, a jak staniecie do pracy, to mi oddacie.

— Ej, nie, od panienki, od dziecka, nijako mi pożyczać. Może mi da jaką pomoc to stowarzyszenie.

— Dlaczego gardzicie towarzyszu moimi pieniędzmi? One są uczciwe i gdybym ja potrzebowała, wzięłabym od was pożyczkę.

— To inna sprawa.

Matka, widząc jaką przykrość sprawia Irenie odmowa, dodała:

— Nie róbcie nam tej przykrości i bierzcie pożyczkę od mojej córki.

— Ano, kiedy sama pani, matka, pozwala, to wezmę i rzetelnie oddam.

Ucieszona Irena wręczyła mu trzydzieści koron, które on przeliczył, schował i rzekł:

— Mieszkam kątem na Krowodrzy, — wymienił numer domu, — przyjdę tu, jak mi się zlepszy, dowiedzieć się o miejsce we fabryce, i może pani być spokojna, że co soboty przyniosę ratę.

Roman dał mu swój bilet z adresem mieszkania i fabryki w Podgórzu.

W parę dni później, przyszła do Czajkowskiej nieznana, ubogo ubrana kobieta i uwiadomiła ich, że gospodyni, u której mieszka Tomasz Ryś, dłużej trzymać go nie może, jako ciężko chorego, bo obawia się, że on zemrze, co sprawiłoby jej bardzo wiele kłopotu.

Po krótkiej naradzie postanowili Czajkowscy, że Roman przewiezie chorego Tomasza do szpitala, co tem łatwiejsze było Romanowi, że i tak, miał tego dnia uwolnić się wcześniej z fabryki, aby w południe być u Stokłosa i dowiedzieć się o rezultacie rozmowy jego z Filarkiem.

Osobiście zawiadomił fabrykanta, że nie będzie w biurze, oddał kasę swemu zastępcy i pojechał na Krowodrzę.

Pod wskazanym numerem zobaczył nizki dom parterowy z małym ogródkiem przed oknami, otoczonym rozpadającym się płotem, a przeszedłszy błotnistą ścieżkę, dowiedział się, że lokatorzy pani Marcinowej mieszkają w oficynie za domem frontowym.

Na brudnem, ciasnem, zagnojonem podwórzu, z prawej strony stała odrapana stajnia i chlew, a naprzeciw nizka, niemal do okien wpadnięta w ziemię buda, sklecona z drzewa, nosząca miano oficyny.

Schyliwszy się nizko, wszedł przez wązkie drzwi do ciemnej, brudnej sionki i zapukał do izby.

— Kto się tam tłucze? — odezwał się z wewnątrz szorstki, przykry głos.

Otworzył drzwi i owionął go zaduch wilgoci, brudu, zmieszany z wyziewami kuchennymi i duszącym dymem lichego tytoniu. W szarem, mdłem świetle ujrzał stojącą przy kuchni nizką, grubą niewiastę, która spytała go krzykliwie:

— Czego pan chce? — a drzwi proszę zamykać, bo ziąb idzie.

Roman rozejrzał się po brudnej izbie i ujrzał pod ścianami dwa pierwotne tapczany jako legowiska lokatorów i jedno łóżko zasłane wysoko poduszkami, a nad niem liczne obrazy święte, przybite krzywo na brudnej ścianie.

— Przyszedłem dowiedzieć się o lokatora pani, Tomasza Rysia.

— Aha, to ten Królewiak... co ja mam z nim kłopotu, niech ręka boska broni! Majaczy, pali go na wnątrzu, co chwila dawaj pić, a czy mam czas na to?

— Gdzie on jest?

— Usłałam mu łóżko w komórce, bo drugim spać nie daje.

— Niech mnie pani zaprowadzi do niego.

— Zaraz, a pan jemu co? znajomy, krewny?

— Znajomy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Przedpotopowe olbrzymy.

Istnieje specyalna nauka, która zajmuje się badaniem skamieniałości w skorupie ziemskiej. Zwie ona się palentologią. Bada ona skorupę ziemską, wdzierając się w jej wnętrze i dzięki wykopaliskom dokonanym przez paleontologów, możemy dzisiaj stworzyć sobie mniej więcej dokładny obraz ziemi, jaką była przed tysiącami lat. Oni to wydobyli z głębin ziemi kości przedhistorycznych mamutów i innych olbrzymów, które kiedyś zaludniały nasze lasy.

W ostatnich czasach udało się paleontologom odkryć nowy, dotychczas prawie całkiem nieznany przedhistoryczny gatunek zwierząt, zwanych dinosaurusami. Prawie równocześnie w dwóch miejscowościach niemieccy uczeni natrafili na ich szczątki, mianowicie w południowej Afryce i w Niemczech koło miasta Halberstadt. Zwłaszcza w tem ostatniem miejscu znaleziono jakby olbrzymie cmentarzysko przedhistoryczne, z którego wydobyto kilkanaście doskonale zachowanych szkieletów.

Prof. Jaekel, który w Halberstadt kieruje wykopaliskami, zebrał bardzo ciekawe szczegóły na podstawie swych badań. Ponieważ szkielety znaleziono w pokładach gliny i iłu, prawdopodobnie potonęły te olbrzymy w czasie przechodzenia przez jakieś olbrzymie trzęsawiska. Z położenia, w jakiem kości znaleziono, należy wnosić, iż zwierzęta te, podobnie jak nasze kangury, chodziły na tylnych, silnie rozwiniętych nogach, używając w razie spoczynku ogona, jako podpory.

Co do wielkości, to ze znalezionych szkieletów podobne są owe dinosaurusy, do słoni.

Prawdopodobnie były to zwierzęta bardzo drapieżne, na co wskazują nadzwyczaj ostre zęby.

W pokładach gliny pod Halberstadt znaleziono dotychczas przeszło 20 dobrze zachowanych szkieletów, z których kilka zostało złożonych dla Muzeum w Berlinie.

Illustracye nasze przedstawiają wykopane szczątki olbrzymów i montowanie ich w Muzeum w Berlinie.



Symptomy wojenne: Jen. Con. v. Hoetzendorf, b. szef sztabu jeneralnego, obecnie mianowany inspektorem armii w Tyrolu.



Przedpotopowe olbrzymy: Skamieniałe kości dinosaurusa, odkopane koło miasta Halberstadt.

Czterdziestolecie rzeszowskiej straży ogniowej.

Armią, która ciągle musi stać w pogotowiu i staczać wciąż walki z groźnym wrogiem — jest straż ogniowa. Karne jej szeregi są zawsze na stopie wojennej, bo nieprzyjaciel, groźny żywioł, który zamienia w perzynę wsi i miasteczka, wciąż czyha, zagrażając mieniu i życiu mieszkańców. Każda straż to placówka wojenna, zawsze gotowa do służby dla bliźnich. Jedna z takich placówek — ochotnicza straż pożarna w Rzeszowie — obchodziła w tych dniach 40 lecie swego istnienia, a uroczystość ta była połączona z jubileuszem radcy miejskiego p.



Czterdziestolecie rzeszowskiej straży ogniowej: Grupa uczestników uroczystości jubileuszowej: 1) burmistrz miasta Rzeszowa Dr. Jabłoński, 2) strażak-jubilat p. Marcinkiewicz, 3) delegat Związku ochotniczych straży ogniowych p. Osiński, 4) naczelnik okręgowy prof. Mokrzycki.

Jana Marcinkiewicza, uczestnika wypadków r. 63, który od początku powstania straży, t. j. przez lat 40, pełni obowiązki ochotnika-strażaka. Ta ofiarna i długoletnia służba społeczna p. Marcinkiewicza doczekała się powszechnego uznania. Towarzysze pracy ofiarowali jubilatowi złoty zegarek z emblematami strażackimi, Rada miejska przysłała pismo z podziękowaniem za ofiarną pracę dla miasta, a krajowy Związek ochotniczych Straży pożarnych ofiarował p. Marcinkiewiczowi pamiątkowy medal.

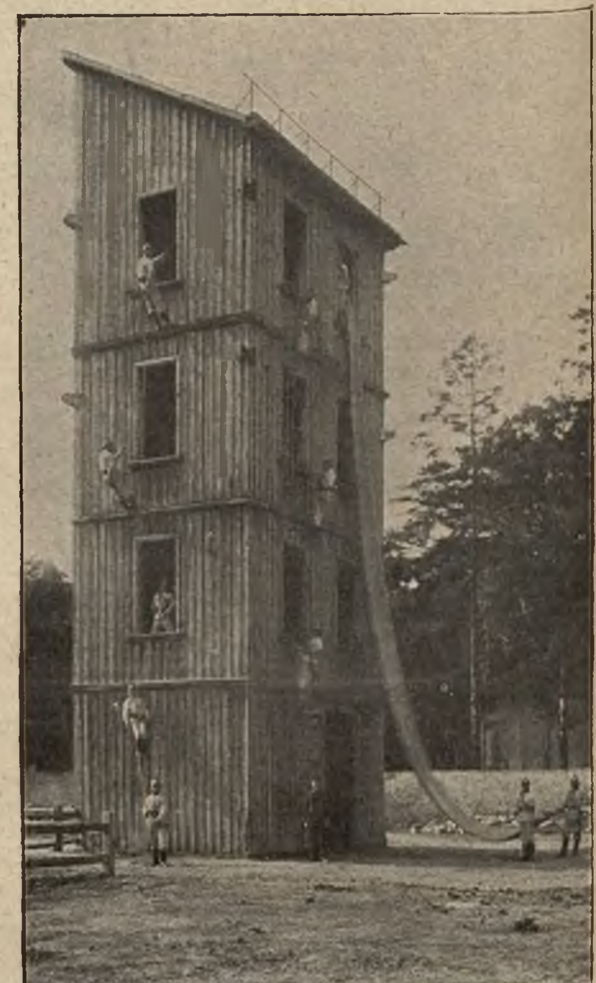
W obchodzie strażackiego święta brała udział reprezentacya miasta i przedstawiciele wszystkich towarzystw miejscowych. Po nabożeństwie i przemówieniach burmistrza dr. Jabłońskiego, dr. Niecia, W. Czaczki, p. Osińskiego repr. Związku, akademika Hakalli imieniem Sokolstwa i Mokrzyckiego, naczelnika okręgu strażackiego, nastąpił pochód przed gmach Floryanki, gdzie przemówił imieniem strażactwa K. Mokrzycki, dziękując za opiekę nad strażami.

Z okazyi tej uroczystości odbyły się też okręgowe zawody strażackie, do których stanęły 4 straże miejskie, jakoteż 4 wiejskie, a mianowicie z Rzeszowa, Kolbuszowej, Tyczyna i Przeworska, Trzciany, Stobierny, Zwięczycy i Zaczernia.

Uroczystości strażackie zakończyły się wspólnym obiadem, a następnie zabawą ogrodową dla publiczności.



Rzadka operacya dentystyczna: Dr. Watts wyrywa w menażeryi londyńskiej spróchniały ząb chorej lwicy.



Czterdziestolecie rzeszowskiej straży ogniowej: Okręgowe ćwiczenia strażackie w Rzeszowie.

Rzadka operacya dentystyczna.

Kto patrzy na wspaniałe uzębienie zwierząt drapieżnych, szczególniej lwa lub tygrysa, nieraz im zazdrości, boć one nie znają ani szczoteczki do zębów, ani żadnych past lub kalodontów i według dotychczasowych domysłów chyba nigdy nie podlegają bólowi zębów, który ludziom tak nieraz daje się we znaki.

Obecnie przekonujemy się jednak, że tak nie jest, bo i lwy cierpią na tę tak popularną dziś słabość, a dowód tego mieliśmy świeżo na czternastomiesięcznej lwicy w londyńskiej menażeryi w White City.

Od dłuższego czasu zapadła ona poważnie na zdrowiu, posmutniała i przestała prawie zupełnie przyjmować pożywienie, tak, że obawiano się, iż lada dzień zginie. A szkoda byłoby tak pięknego okazu, będącego prawdziwą ozdobą zakładu.

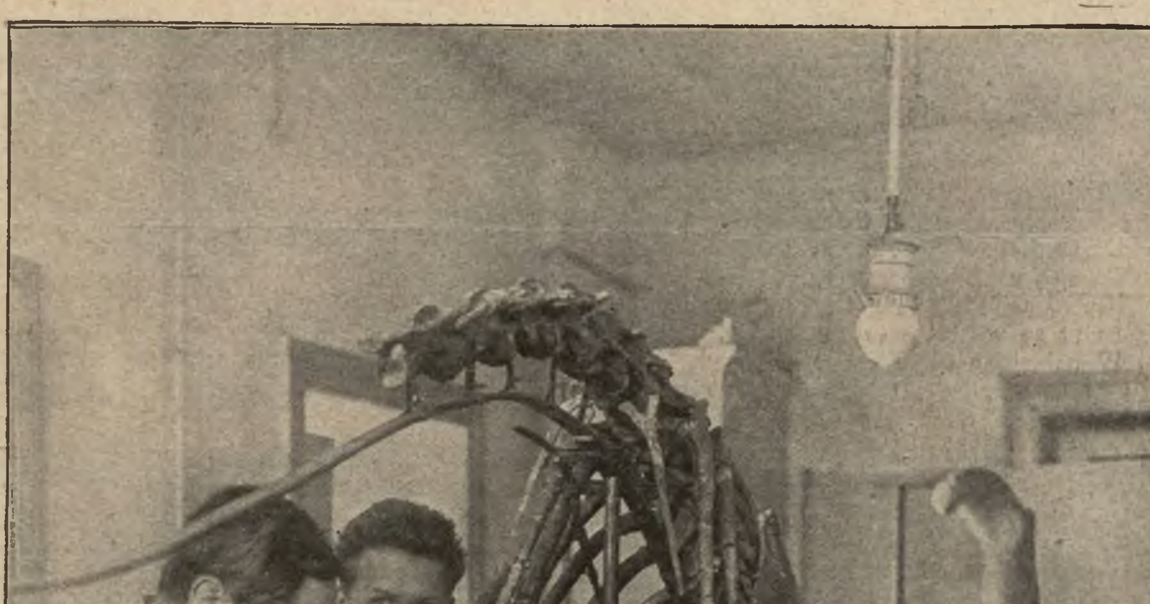
„Lekarz domowy" po dokładnem zbadaniu dostojnej pacyentki, orzekł, że przyczyną słabości jest spróchniały ząb, który trzeba koniecznie wyrwać.

Łatwo to jednak powiedzieć, daleko trudniej wykonać, o zgodzie zaś jej królewskiej mości na operacyę trudno nawet pomyśleć.

Postanowiono więc użyć przemocy.

Wijącą się z bólu pacyentkę, nie przypuszczającą nawet, co ją czeka, skrępowano drucianemi linami i leżącą na grzbiecie przywiązano do kraty klatki, poczem przemocą rozwarto jej paszczę, a znany specyalista w swym zawodzie, londyński lekarz weterynaryi, dr. Watts, wraz z swymi asystentami, zabrał się energicznie do pracy.

Operacya powiodła się znakomicie, królowa pustyni, choć niemile dotkniętą była brutalnem obejściem się z nią otoczenia, jakby czuła, że to stało się tylko dla jej dobra, wdzięcznem okiem spojrzała na swego dobroczyńcę. Ten jednak nie czekał na okazanie objawów wdzięczności, które mogłyby dlań być, jeśli nie niebezpieczne, to w każdym razie bolesne i wraz z towarzyszami opuścił pospiesznie klatkę, unosząc ze sobą potężny ząb, który stano-



Przedpotopowe olbrzymy: Zestawienie szkieletu dinosaurusa w Muzeum berlińskiem.

wić będzie miłą pamiątkę jego praktyki lekarskiej.

Po operacyi, która odbyła się naturalnie bez narkozy, pacyentka przyszła zupełnie do siebie i jak donosi ostatni oficyalny biuletyn zarządu menażeryi, cieszy się doskonałem zdrowiem, humorem, a co najważniejsza, apetytem, dr. Watts stał się zaś od razu najpopularniejszym „dentystą" w Londynie.



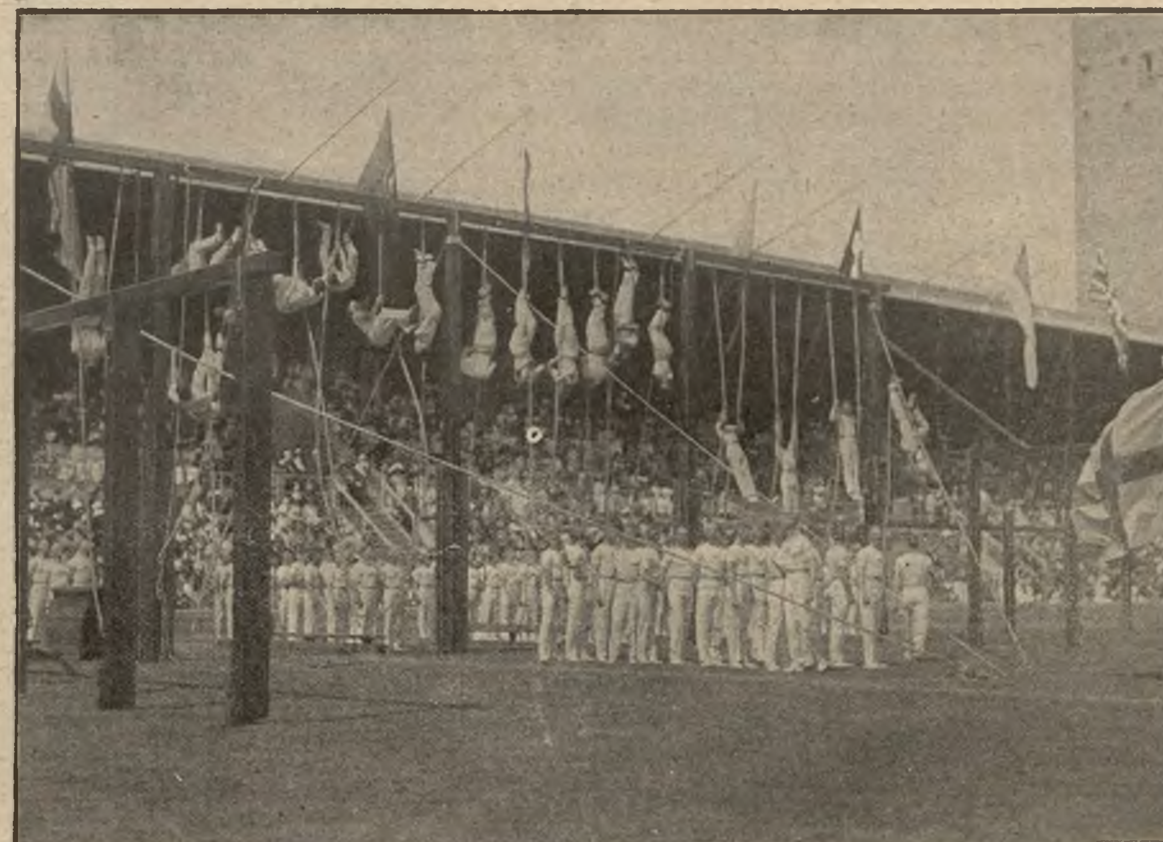
Nowy polski szef sekcyi: Dr. Hieronim Köller, nowy szef sekcyi w ministeryum rolnictwa

Nowy polski szef sekcyi.

Nic niema wiecznego na świecie, ale najmniej trwałe są... rządy austryackich ministrów. Gabinety i ministrowie zmieniają się w Austryi, jak w kalejdoskopie, a często teki ministeryalne obejmują bardzo dzielni wprawdzie politycy, ale najmniej właśnie znający się na sprawach powierzonego im ministerstwa.

W takich warunkach dominującą rolę w prowadzeniu agend ministeryalnych odgrywają szefowie sekcyi, a każdy naród, wchodzący w skład monarchii, ubiega się o to, aby jak najwięcej swych rodaków mieć na tych stanowiskach. To też należy powitać z zadowoleniem fakt, iż w ministeryum rolnictwa, gdzie od czasu ustąpienia obecnego ministra skarbu Zaleskiego, nie było żadnego szefa sekcyi Polaka, obejmuje szefostwo rodak nasz, dr. Hieronim Köller, dotychczas radca ministeryalny w ministerstwie oświaty. Na tem nowem stanowisku dr. Köller będzie miał powierzone agendy, dla naszego kraju mające bardzo doniosłe znaczenie, jak naprzykład zarząd domen i lasów oraz szkolnictwo, tak ważne dla rozwoju naszego rolnictwa.

W życiu kolonii polskiej w Wiedniu nowy szef sekcyi bierze bardzo wybitny udział i cieszy się ogólną sympatyą.



Igrzyska olimpijskie w Sztokholmie: Popisy szwedzkich gimnastyków.

Igrzyska olimpijskie w Sztokholmie.

Piąta „Olimpiada" w Sztokholmie, o uroczystem otwarciu której pisaliśmy w poprzednim numerze, jak wskazują dotychczasowe sprawozdania z jej przebiegu, zarówno liczbą uczestników, jak i świetnymi wynikami zapasów, przeszła wszystkie poprzednie... Do powodzenia obecnych igrzysk olimpijskich przyczyniły się niewątpliwie wspaniałe urządzenia, jakie przygotowała Szwecya do tego wszechświatowego turnieju sportowego.

Arenę o formie elipsy, 382 metry długiej, 20 metrów szerokiej, otacza kamienny amfiteatr, mieszczący około 50,000 osób. Wszystko obmyślone z niezwykłą starannością i troskliwością, zapewniającą możliwe wygody zarówno uczestnikom zapasów, (a jest ich przeszło 4.000) jak i widzom. Niezwykle obfity program igrzysk, który podaliśmy w poprzednim numerze, jak i świetne wyniki zawodów, w których biorą udział najlepsi sportowcy ze wszystkich części świata, wywołują powszechny entuzyazm.

Igrzyska olimpijskie zadają kłam utartemu obecnie przekonaniu o skarłowaciałości współczesnego pokolenia. I nic dziwnego. Co najzdrowsze, najsilniejsze i najzręczniejsze na świecie, stanęło do zawodów w Sztokholmie, które z pewnością prześcignęły igrzyska olimpijskie wszechstronnością ćwiczeń, obejmujących wszystkie dziedziny sportu...

O zainteresowaniu igrzyskami świadczy najlepiej... 500 specyalnych korespondentów, przybyłych do Sztokholmu z całego świata... Jest to także pewnego rodzaju turniej dziennikarski, obcy zupełnie starożytnym Grekom...

Nie ulega więc wątpliwości, że obecne igrzyska pod tym przynajmniej względem prześcignęły greckie „Olimpiady".



Igrzyska olimpijskie w Sztokholmie: Defilada przed rozpoczęciem zawodów.



Igrzyska olimpijskie w Sztokholmie: Chorążowie poszczególnych narodowości, biorących udział w igrzyskach, witają króla szwedzkiego.

Konkurs gimnazyalnych strzelców.

Punktem kulminacyjnym nauki strzelania w galicyjskich szkołach średnich, z której daliśmy już w poprzednich numerach szereg illustracyi, było premiowe strzelanie, jakie odbyło się w końcu czerwca na zakończenie kursu strzeleckiego, urządzonego przez Towarzystwo zabaw ruchowych we Lwowie. Ten studencki konkurs strzelecki odbył się w strzelnicy wojskowej na Kortumówce, a wzięli w nim udział uczniowie gimnazyum II. i IV. oraz druga szkoła realna.

Wyniki konkursu przeszły wszelkie najśmielsze oczekiwania, ujawniając niezwykłe wyszkolenie młodocianych strzelców, którzy zdobyli liczne nagrody za celność strzałów.

Na popisy strzeleckie studentów, które wywołały we Lwowie wielkie zainteresowanie, przybyło bardzo wiele publiczności, a wśród niej wybitni przedstawiciele sfer nauczycielskich i wojskowych.

Zwycięzcom wręczył nagrody wiceprezydent Rady szkolnej krajowej, dr. Dembowski, który przemówił do zgromadzonej młodzieży w gorących słowach.

Illustracya nasza przedstawia grupę gości i uczestników konkursu, z wiceprezydentem Rady szkolnej krajowej, drem Dembowskim.

Wycieczka koncertowa krak. Chóru akademickiego.

Jedną z sympatyczniejszych drużyn śpiewaczych jest krakowski Chór akademicki, który odznacza się nie tylko wysokim poziomem artystycznym, ale i wielką ruchliwością. Witany zawsze mile na estradzie, udziela się chętnie szerszej publiczności, a w tych dniach (22 lipca) jak corocznie, rozpoczyna wycieczkę koncertową do zdrojowisk galicyjskich. Pierwszem miejscem koncertu będzie Krynica, po niej zaś idą: Zegiestów, Rabka, Zakopane, Szczawnica i Maków. Program koncertów jest wyłącznie wokalny, a składają się nań utwory chóralne i solowe ze szczególnem uwzględnieniem autorów polskich: Zeleńskiego, Galla, Swierzyńskiego, Nowowiejskiego, Szymanowskiego, Karłowicza, Rudnickiego i Maszyńskiego. Prócz pieśni wykonane będą wyjątki z oper, między nimi interesująca nowość: wyjątek z najnowszej opery Pucciniego p. t. „Dziewczę Zachodu" i fragment z opery „Hugonoci" Meyerbeera.

Solistami koncertu będą pp. Tadeusz Bukowski, barytonista opery poznańskiej, młody artysta, ceniony dla pięknego głosu barytonowego i rzadkiej umiejętności interpretowania pieśni, oraz młodzi adepci sztuki wokalnej: p. Józef Stępniowski, tenorzysta o nader miłym głosie i wspaniały bas p. A. Mazanek. Dyrygować będzie dotychczasowy dyrygent p. Bolesław Wallek-Walewski.

W dzisiejszym numerze dajemy grupę sympatycznej drużyny śpiewaczej, zdjętą przed wyruszeniem w podróż koncertową po zdrojowiskach.



Konkurs gimnazyalnych strzelców: Uczestnicy i goście gimnazyalnego konkursu strzeleckiego we Lwowie z wiceprezydentem Rady szkolnej krajowej dr. Dembowskim (X) i pułkownikiem Trojanem (XX).



Wycieczka koncertowa krak. Chóru akademickiego: Grupa członków chóru z dyrygentem p. Wallek-Walewskim (X) przed wyjazdem do zdrojowisk galicyjskich.



Sędziwi oblubieńcy: Świeżo poślubieni w Retowie na Żmudzi Tomaszewscy („pan młody" 105 lat, „panna młoda" 74).

Jerzy Spitzmuller i Armand Le Gay.

FABRYKANT MUMII.

16

Tłum. z francuskiego.

— Tak jest, panie szefie. Nowa zbrodnia Fabrykanta mumii. Może panowie zechcą sami spojrzeć. — I wskazał szafę przybyłym, a zwłaszcza profesorowi.

— Tak — rzekł sławny uczony, przyglądając się z blizka trupowi z żywem zainteresowaniem — jest to typowa mumia. Widzimy tu ślady wysuszenia, dokonanego przy pomocy kwasu arszenikowego, rozpuszczonego prawdopodobnie w alkoholu i chlorku cynku. Możecie panowie zauważyć na skórze drobne białe kryształki, których wystąpienie spowodowane jest użyciem w nadmiernej ilości zastrzykniętych soli.

Mówiąc to, profesor przeciągnął lekko palcami po twarzy mumii, z której spadło kilka drobnych kryształków, przypominających ziarnka soli.

— W teatrze anatomicznym Clamart posługujemy się innym sposobem do konserwowania trupów — ciągnął dalej profesor. — Do kwasu arszenikowego i chlorku cynku, dodajemy kwasu karbolowego i rozpuszczamy to w glicerynie, która nie pozwala na wyschnięcie trupa, wielce utrudniające krajanie. W tym jednak wypadku kwas karbolowy, dzięki swemu charakterystycznemu zapachowi, łatwo zdradziłby obecność trupa. Dlatego też zbrodniarz użył prostszego sposobu, bardziej odpowiadającego jego celom.

— Co do sposobu zastrzyknięcia — to bandyta ten — zaznajomiony zdaje się doskonale z naszemi metodami — musiał to uczynić podobnie, jak i my — to jest wprowadził rozczyn w tętnicę szyi. Zresztą przekonamy się zaraz o tem. — I profesor, podniósłszy się na palcach, podniósł ostrożnie kołnierzyk trupa i odchylił krawat.

— Proszę panów — tak właśnie, jak mówiłem!

Na szyi trupa z lewej strony widać było małą plamkę.

— W tem miejscu — zwrócił się profesor do urzędników, którzy przysunęli się bliżej — zastrzyknięto substancyę, mającą zakonserwować ciało. Niepodobna się omylić.

— Rzeczywiście, — rzekł sędzia śledczy — metoda jest zawsze jednakowa. — Po raz czwarty badam tego rodzaju sprawę i za każdym razem trup wygląda w taki sposób i ma ślad ukłucia na szyi.

— Tak — odezwał się komisarz, — opryszek postępuje zawsze jednakowo, zwłaszcza w sposobie ukrywania swych ofiar, które odnajdują się zbyt późno, żeby można odszukać jakieś ślady.

— W każdym razie — zauważył pan Ducroc, wycierając szkła swych okularów — nigdy jeszcze nie wykonał tego tak zręcznie, jak teraz. Poprostu przeszedł samego siebie. Bo, przecież, rewidując mieszkanie przed trzema miesiącami — otwierał pan tę szafę?

— Naturalnie, panie szefie. Były w niej tylko suknie. Stwierdził to również pan sędzia pokoju, kiedy przykładał tu pieczęcie i odźwierna; nieprawdaż, pani Rouve?

Odpowiedział mu słaby jęk.

— Dziwne! — mruknął p. Ducroc, marszcząc brwi. — Wszystko to jest niezrozumiałe. Dzieją się w tym domu rzeczy niewytłumaczone — giną z niego ludzie, jak za dotknięciem laseczki magicznej, zjawiają się trupy, pomimo zamkniętych i opieczętowanych drzwi.

— A ta przeklęta brunetka — odezwał się pan Charvet, odpowiadając głośno na pytania, które stawiali sobie wszyscy. — Ta tajemnicza, nieuchwytna wspólniczka Fabrykanta mumii, która odważyła się poślubić swą ofiarę i znikła wraz z nią, nie zostawiając najmniejszego śladu! Czy to nie jest najdziwniejsze ze wszystkiego?

— Czy przeszukano trupa? Może znajdzie się przy nim coś, co nam pomoże odszukać ślad. W każdym razie trzeba go wyjąć z szafy, zanim przyjedzie furgon z morgi, żeby go zabrać.

Natychmiast dwóch ajentów zabrało się do wyjęcia trupa jubilera. Zauważono wówczas, iż był on zawieszony na grubym sznurze, przeciągniętym pod pachami i założonym na wieszadle.

Wysuszone ciało położono na stole i sam szef bezpieczeństwa przeszukał ubranie. Znalazł tam najpierw chusteczkę batystową i paczkę papierosów. W wewnętrznej kieszeni znajdował się portfel, wypełniony różnymi papierami bez wartości, rachunkami, notatkami, kwitami, kartami wizytowemi i handlowemi na imię Jerzego Bridgeton, jubilera z ulicy Royale.

W jednej z kieszeni wreszcie znaleziono małe étui ze skóry rosyjskiej, bardzo zniszczone, które zawierało fotografię młodej, ładnej kobiety, blondynki, o bardzo jasnych oczach, uczesanej à la Cléo de Merode, jak to było wówczas w modzie.

Z fotografii tej odźwierna, jej mąż i wszyscy lokatorzy, którym ją pokazano — jednogłośnie oświadczyli, że jest to żona Bridgetona.

Nareszcie posiadano podobiznę tajemniczej kobiety, którą znano dotychczas tylko z opowiadań, zgadzających się coprawda ze sobą, ale za mało ważnych, żeby się można było na nich opierać.

Pan Ducroc schował starannie fotografię, postanawiając kazać zrobić z niej setki odbitek i rozesłać je do wszystkich komisaryatów Paryża i Francyi.

ROZDZIAŁ XXI.

Dwa odkrycia Sebastyana Blanc.

Na trójkącie, utworzonym przez skrzyżowanie ulic: bulwaru Augusta Blanqui, ulicy Edmond-Gondinet i Corvisart, znajduje się stara kamienica, którą, ściślej biorąc, można nazwać ruiną. Dom ten stoi wśród parku, otoczonego zniszczonym murem, z resztkami kraty żelaznej od strony bulwaru i płotem drewnianym, pomalowanym na czarno od strony innych ulic. Dom ten oddawna jest niezamieszkany.

Pewnego ciepłego letniego wieczora bulwarem Augusta Blanqui szedł jakiś człowiek, wyglądający na zadowolonego z życia mieszczucha, który wyszedł na przechadzkę po dobrym obiedzie. Człowiek ten zatrzymał się przed opuszczonym domem i obejrzał się dookoła, jakby pragnąc przekonać się, że nikt go nie śledzi. Poczem zastukał do drzwi trzy razy, bardzo delikatnie i jakby w umówiony sposób.

Prawdopodobnie ktoś czekał na ten sygnał, gdyż natychmiast drzwi otworzyły się i po zniknięciu w nich przybysza, który pukał — zamknęły się.

Gdyby człowiek, który wszedł w sposób tak tajemniczy — rozejrzał się lepiej po ulicy — mógłby dostrzedz innego człowieka, który wyszedł z cienia, gdzie się ukrywał, wbiegł szybko na ulicę Corvisart, przeskoczył przez parkan, otworzył bez szelestu boczne drzwi domu i wszedł przez nie.

Ale widoczne było, że pierwszy przybysz daleki był od podejrzywania, że śledzą go.

Gdy drzwi zamknęły się za nim, znalazł się w głębokich ciemnościach. Ten, który mu otworzył — wziął go za rękę i rzekł półgłosem:

— Niech pan pozwoli, wskażę panu drogę.

Po przebyciu długiego korytarza, weszli do jakiegoś pokoju, w którym panowały głębokie ciemności.

— Teraz — trochę światła — odezwał się głos — i będziemy jak u siebie.

W tej chwili promień białego światła kieszonkowej latarni elektrycznej rozjaśnił duży pokój, zniszczony, z obdartemi obiciami, którego jedyne umeblowanie stanowiły trzy stare fotele.

— No i cóż pan o tem powie, kochany panie Sebastyanie? Dobre miejsce wybrałem do naszych schadzek?

— Doskonałe, panie szefie.

— Nieprawdaż? Myślę, że tu nikt nam nie przeszkodzi — i będziemy mogli spokojnie pomówić o naszych sprawach.

— Bardzo tego potrzebujemy. Niech mnie dyabli wezmą, jeśli wiem, w jaki sposób to się dzieje, ale jestem najgłębiej przekonany, że wszystkie nasze dotychczasowe rozmowy były podsłuchane. Musi krążyć koło nas jakiś niewidzialny szpieg, który donosi wiernie Fabrykantowi mumii wszystko, o czem mówimy.

— Dlatego też pomyślałem o tym opuszczonym domu, jako o miejscu, bezpieczniejszem nawet od mego gabinetu. Niepodobieństwem jest, żeby przewidziano nasze spotkanie tutaj dziś wieczorem.

— Nie można nigdy twierdzić tego — odparł Sebastyan, kiwając głową. — Fabrykant mumii posługuje się środkami, które chwilami wydają mi się nadnaturalnymi. I gdyby ktoś powiedział mi, że teraz ukryty jest za temi drzwiami, żeby nas podsłuchiwać, nie zdziwiłbym się wcale.

P. Ducroc bezwiednie rzucił okiem w stronę niedomkniętych drzwi. Poczem roześmiał się:

— Tylko bez żartów, drogi panie! Niech pan mówi prędko, co pan znowu odkrył.

Ale detektyw, zamiast odpowiedzieć, wziął z rąk szefa latarkę i poszedł zbadać korytarz, przyczem zostawił drzwi szeroko otwarte.

— Tak — rzekł, siadając — teraz nie będzie niespodzianek, jeżeli ktoś zechce tu wejść, usłyszymy go.

P. Ducroc wzruszył ramionami.

— Kto się sparzył na gorącem, dmucha na zimne — odparł na to Sebastyan. — Teraz mogę zaspokoić pańską ciekawość. Otóż zrobiłem dwa odkrycia pierwszorzędnej wagi, które potwierdzają moje przypuszczenia co do tajemnego przejścia, łączącego tę przeklętą piwnicę przy ulicy Świętego Jakóba z jakimś innym domem. Wejście do tego „tunelu" jest tak zręcznie zamaskowane, że dotąd nie zdołałem go odkryć, ale cierpliwości! Jestem już blizki tego i jest to tylko kwestya czasu... Jutro, pojutrze najdalej... Ale nie zabiegajmy naprzód. Wracam do swych odkryć.

— Pierwsze, to jedynie dzieło przypadku, jak pan to zaraz zobaczy. Wczoraj chciałem wrzucić do piwnicy kilka dużych kłód, które zawadzały mi w drwalni. Ponieważ jedna z nich z trudnością przechodziła przez kratę w okienku, nacisnąłem ją silniej i, ku wielkiemu memu zdziwieniu, ujrzałem, że krata ustępuje, otwiera się na zawiasach, umieszczonych na dole, pozostawiając u góry otwór.

Rozumie pan naturalnie, dlaczego nie zrobiłem tego odkrycia owej tragicznej nocy, o której panu opowiadałem. Wtedy, zamiast ciągnąć kratę do siebie, pchałem ją i oczywiście nic nie wskórałem. Po otworzeniu kraty, w okienku tworzy się otwór dosyć szeroki, żeby mógł się przezeń przedostać człowiek. To odrazu wytłómaczyło mi tajemnicę, w jaki sposób można było wchodzić do piwnicy i wychodzić z niej przy zamkniętych na klucz drzwiach. Teraz wydaje mi się to niesłychanie prostem. W każdym razie obmyślane to jest znakomicie. Klucz, tkwiący zawsze z zewnątrz drzwi, zabezpieczał piwnicę przed podejrzeniami, dzięki temu uwierzono, że porwanie uskutecznione było przez ogród. A o to właśnie chodziło zbrodniarzom. Odkrywszy tajemnicę okienka, z tem większą zaciętością zwróciłem się do odszukania tajemnego przejścia.

Pozostała mi do zbadania kupa węgla, którego znaczną część już odrzuciłem.

Uwagę moją zwróciło zachowanie się Frisqueta, który krążył ciągle koło tego węgla, węszył i drapał go łapami z wściekłością. Nagle odskoczył i począł szczekać. Zbliżyłem się, żeby zobaczyć, co go tak zajęło i zobaczyłem na ziemi jakiś błyszczący przedmiot. Podniosłem go — był to mały, srebrny ołówek z wyrżniętemi literami „A. V."

— Aleksander Vanesco? — zapytał p. Ducroc z oczyma błyszczącemi ciekawością.

— Pomyślałem to samo. Ale, żeby nie mieć żadnych wątpliwości, pokazałem go portyerowi lecznicy, mówiąc, że znalazłem go na ulicy.

— Ależ to ołówek doktora! — zawołał portyer.— Zrobi mu pan tem wielką przyjemność, to jakaś pamiątka, o którą bardzo mu chodzi. Szuka tego ołówka już od miesiąca.

Nie potrzebowałem pytać więcej. Miałem w ręku niezbity dowód, że Vanesco był w mojej piwnicy.

Co do tego, w jaki sposób tam się dostał, to zbadać trochę trudniej. Mam przeczucie, że ta kupa węgla ukrywa jakąś niespodziankę dla mnie i zabiorę się do niej jutro, żeby mieć czyste sumienie.

— Niech pan pamięta — zawołał p. Ducroc — że czekam na wiadomość o tem z niecierpliwością i jak tylko...

Nie dokończył — kawałek tynku opadł z sufitu i spadł mu przed nogi, jednocześnie obaj usłyszeli skrzypnięcie podłogi na górze, tak, jak gdyby ktoś chodził nad nimi.

— Do stu piorunów! — zawołał Sebastyan, zrywając się na równe nogi. — Tam ktoś jest na górze! Czy pan słyszał?

— Drzewo pęka, drogi panie — odparł p. Ducroc, wzruszając ramionami.

— A ten kawałek tynku, który spadł?

— To z wilgoci.

— Nie, nie! — krzyknął detektyw, podniecony — nie, panie szefie, tam ktoś jest, mówię panu, ktoś, kto nas podsłuchuje... Chodźmy, trzeba się przekonać.

I chwyciwszy za ramię p. Ducroc, który pomimo swej zimnej krwi, dał się opanować wzruszeniu, pociągnął go na korytarz, skąd obaj wbiegli szybko na schody, prowadzące na pierwsze piętro. Uderzeniem nogi Sebastyan otworzył drzwi i oświetlił lampką pokój.

Nie zobaczył nic podejrzanego.

Pokój był zupełnie pusty, bez mebli, z obdartemi obiciami. Łodygi bluszczu, przedostawszy się przez zbite od lat zapewne szyby, rozpościerały się po podłodze. W głębi, przy jednej ze ścian, znajdował się kominek z szarego marmuru, ozdobiony dwoma karyatydami.

Zbliżając się do tego kominka, Sebastyan postawił nogę na jednym z kwadratów posadzki, który skrzypnął przeciągle.

Detektyw drgnął i spojrzał na pana Ducroc znacząco.

— Cóż pan chce, żebym panu powiedział — odparł tenże — widzi pan przecież, że pokój jest pusty.

Sebastyan pokiwał głową. Można było poznać po jego twarzy, że nie był przekonany.

— Chodźmy zobaczyć inne pokoje.

Wyszli i można było słyszeć odgłos ich kroków, budzących ponure echa w różnych pokojach tego opuszczonego domu.

Ale widocznie nie znaleźli nic, gdyż, zajrzawszy do oficyn, które łączyły się z głównym domem przy pomocy krótkiego korytarza, wracali, prowadząc ożywioną dyskusyę. Weszli do sali na dole, gdzie rozmawiali przez kilka minut szeptem i wreszcie wyszli z domu, zamknąwszy za sobą drzwi.

Przez jakiś czas w opuszczonym domu panowała śmiertelna cisza. Nagle w pokoju na pierwszem piętrze, który zwiedzali p. Ducroc i Sebastyan, rozległ się hałas, brzęk i z kominka wyłonił się kształt ludzki, który zdawał się być czarniejszy od otaczających ciemności.

Był to mężczyzna bardzo wysoki, którego oblicza wśród panujących ciemności niepodobna było rozróżnić. Przez chwilę człowiek ten stał nieruchomo, nadsłuchując, potem podbiegł do okna, odgarnął gałęzie i spojrzał w dół.

Bulwar był pusty. Latarnie gazowe migotały, oświetlając ulicę, na której nie widać było ani żywej duszy. Zadowolony z tego, tajemniczy mężczyzna otrzepał ubranie z kurzu i sadzy, zeszedł ze schodów i przez korytarz dostał się do oficyn.

Musiał widzieć po nocy, jak kot, gdyż przez drogę nie zawahał się ani chwili.

W chwilę później przez boczną bramę wychodził na ulicę Corvisart.

ROZDZIAŁ XXII.

Eureka!

Od wczesnego ranka Sebastyan Blanc pracował zawzięcie w piwnicy tajemniczego domku przy ul. Świętego Jakóba. Chociaż zdjął przy pracy marynarkę i kamizelkę, pot lał się z niego strumieniami i faktycznie zawzięty detektyw nie miał na sobie suchej nitki. Mimo to nie ustawał w pracy. Chodziło tu o zwycięstwo, które widział przed sobą. Przeczuwał je. Był go prawie pewnym.

Potwierdzało to zachowanie się psa, jego podniecenie, z którem obwąchiwał kąt piwnicy i drapał łapami węgiel. Tajne przejście musiało się znajdować w tem właśnie miejscu i każde uderzenie motyki zbliżało detektywa do celu.

Ale praca stawała się coraz trudniejszą. Kawałki węgla były tak mocno pozczepiane ze sobą, że łatwiej było je rozbijać, niż rozdzielać.

Sebastyan zatrzymał się na chwilę, żeby rękawem koszuli wytrzeć pot, zalewający mu czoło. Zwątpienie opanowało go, węgla pozostało już stosunkowo niewiele. Czyżby miał nic nie znaleźć?

Nie, nie, to niemożliwe! Wszystko zdawało się przemawiać za tem, że jest na dobrej drodze, Frisquet dodawał mu otuchy, poszczekując zachęcająco, prosząco, przemawiając niemal ludzkim głosem. Detektyw zawstydził się swej chwilowej słabości i zabrał się do pracy z większym jeszcze zapałem, niż poprzednio.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł, że może w inny sposób uda mu się zwyciężyć opór węgla. Posłuszny temu odruchowi myśli, podobnemu do intuicyi, spróbował, czy nie uda mu się podważyć całej kupy węgla. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu ujrzał, że niezliczne kawałki węgla odłupały się, ale cała masa uniosła się z jednej strony, jak klapa na zawiasach.

Sebastyan wydał okrzyk radości.

Teraz pewnym był zwycięstwa. Ale masa węgla była jeszcze za ciężka i mógł ją podnieść zaledwie na jakieś dwa centymetry. Trzeba było zmniejszyć ją. Zaczął z furyą rozbijać węgiel motyką.

Wreszcie narzędzie wydało charakterystyczny dźwięk, uderzając o żelazo. Jeszcze chwila i detektyw ujrzał okrągłą metalową klapę, średnicy około ośmdziesięciu centymetrów. Założył koniec motyki w otwór między klapą i podłogą i nacisnął. Klapa podniosła się nieco, ale dalej nie chciała iść. Musiała być umocowana wewnątrz zasuwami. W nadziei, że potrafi złamać zasuwy, Sebastyan oparł się całym ciężarem na motyce. Rękojeść pękła na dwoje. Do takiej roboty potrzebny był kilof, którym w ostateczności można było nawet zrąbać płytę.

Sebastyan przypomniał sobie, że zostawił swój kilof w ogrodzie, gdzie pracował poprzedniego dnia. Wybiegł więc z piwnicy, zacierając ręce, upojony swym tryumfem, rozkazawszy przedtem psu zostać na miejscu.

Był właśnie w końcu ogródka, gdy usłyszał zawzięte szczekanie, szczekanie tak dziwne, że krew zastygła mu w żyłach. Przeczuł zbliżające się nieszczęście.

Pędząc, jak szalony, na ratunek swemu wiernemu towarzyszowi, wbiegł do jadalni, gdzie zostawił na kominku rewolwer.

W chwili, gdy brał broń do ręki, usłyszał, że drzwi zamykają się za nim. Odwrócił się gwałtownie, zdumiony. I oto, co ujrzał:



Nie dokończył — kawałek tynku opadł z sufitu i spadł mu przed nogi.

Rudy mężczyzna, który zabił Harschfelda, który zamknął go związanego w pokoju w Passy, który wreszcie wciągnął go w zasadzkę w szynku przy ulicy des Gobelins, stał przed nim, w czarnej masce na twarzy.

Stał nieruchomo, nic nie mówiąc, skrzyżowawszy ręce na piersiach i uśmiechał się straszliwie. Detektyw instynktownie poruszył się, żeby podbiedz do okna, otworzyć je lub wybić i zawołać o pomoc. Ale rudy człowiek nie pozwolił mu na to. Szybkim ruchem przekręcił klucz w zamku i stanął przed oknem, wkładając jednocześnie rękę do kieszeni. Odwrót był odcięty, nie było sposobu wymknąć się. Dzielny detektyw musiał zginąć. Jedno ukłucie tą straszliwą igłą, którą zbrodniarz zabijał wszystkie swe ofiary — i wszystko skończone.

— Nie! nie wszystko jeszcze skończone — pomyślał z rozpaczliwą wściekłością Sebastyan — mam przecież rewolwer.

Skoczył w najdalszy kąt pokoju, przysunął stół, odgradzając się nim od przeciwnika, oparł się plecami o ścianę i podniósł rewolwer, mierząc.

Ale widocznie tamten nie przestraszył się lufy, skierowanej w jego piersi, gdyż postąpił naprzód, wciąż trzymając rękę w kieszeni.

— Nie zbliżać się! — ryknął Sebastyan — bo strzelę!

— Proszę strzelać — rzekł chłodno człowiek, wciąż zbliżając się.

Detektyw pociągnął za cyngiel.

Rewolwer nie wystrzelił.

Rudy człowiek wciąż zbliżał się.

Oszalały Sebastyan nacisnął znowu cyngiel. Uczynił to pięć razy, bez najmniejszego skutku.

— Postarałem się wyjąć naboje — wytłómaczył jego przeciwnik z pogardliwym uśmiechem.

— Jestem zgubiony — pomyślał detektyw i taka rozpacz odmalowała się na jego twarzy, że tamten odpowiedział na jego myśl, jak gdyby usłyszał ją wypowiedzianą głośno.

— Tak — rzekł obojętnie — jest pan zgubiony, panie Sebastyanie Blanc.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni błyszczący przedmiot, na którym oczy Sebastyana zatrzymały się z śmiertelnym niepokojem, z jakim patrzy skazaniec na nóż gilotyny.

Nie była to jednak igła, na którą oczekiwał, lecz coś w rodzaju niewielkiego pistoletu z białego metalu, który błyszczał, jak żywe srebro. Tylko, rzecz dziwna, broń ta nie miała lufy; zakończona była panewką, w głębi której znajdował się miedziany guzik, nad panewką wznosił się kurek, a za kurkiem umieszczone było wklęsłe lusterko również z białego metalu.

Zaledwie Sebastyan zdążył rozróżnić te wszystkie szczegóły, gdy przeciwnik jego podniósł rękę z tą dziwną bronią i nacisnął cyngiel.

Oślepiające światło zalało pokój, odbite od wklęsłego lusterka, uderzyło ze straszliwą siłą w oczy detektywa, który zatoczył się, jak gdyby dostał uderzenie w twarz. Potem źrenice jego rozszerzyły się, a gałki oczne wyszły niemal z orbit; szczęki ścisnęły się konwulsyjnie; muskuły szyi napęczniały, pierś wyprężyła się. Stał nieruchomo z podaną naprzód głową, z potwornie wykrzywioną twarzą.

Wówczas rudy mężczyzna podszedł do niego, uśmiechając się tryumfalnie. Sebastyan patrzył nań nieruchomym, strasznym wzrokiem. Widoczne było, że wszystkie jego władze umysłowe były w stanie zupełnego odrętwienia i że znajdował się na łasce tego, który go zwyciężył w sposób tak tajemniczy.

Tamten, zbliżywszy się do detektywa, wziął go za rękę i dmuchnął mu gwałtownie w twarz — naprężenie muskułów ustało natychmiast.

— Proszę usiąść — rzekł wówczas rudy mężczyzna rozkazującym tonem, podsuwając krzesło, na które Sebastyan ciężko opadł.

— Dobrze... Teraz proszę spać, ja tak każę!

Detektyw oparł się na krześle ze zwieszoną w tył głową, z otwartemi ustami, powieki zamknęły mu się, jakby pod naciskiem jakichś niewidzialnych palców.

Rudy mężczyzna wyjął z kieszeni mały, drewniany krążek, położył go na stole i umieścił w nim manometr; prócz tego wyjął dwie cewki, okręcone drutem i dwie rączki metalowe. Do drewnianej podstawy manometru przyczepił dwa długie druty elektryczne i połączył je ze sobą. Wreszcie oddarł końcem noża kawałek obicia obok okna i odsłonił łącznik elektryczny, w którym umieścił druty od manometru. Zrobiwszy to, przeszukał kieszenie i wyjął jeszcze dwa druty, zakończone elektrodami, które połączone były ze sobą czemś w rodzaju metalowej korony. Umieściwszy końce drutów w drewnianej podstawie manometru, koronę włożył na głowę Sebastyana w taki sposób, żeby elektrody dotykały ciemienia.

Ukończywszy te przygotowania, usiadł za stołem naprzeciwko swej ofiary i połączył bez wahania cewki, przyglądając się z najwyższem zaciekawieniem, jakie to wywrze skutki.

Między cewkami poczęły przebiegać błękitne iskry, ale ciało detektywa nie ujawniało zwykłych w takich wypadkach odruchów. Jedynie twarz zbladła nieco, ale rysy nie wyrażały najmniejszego cierpienia. Zdawało się, że był pogrążony w spokojnym śnie.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wystawa rzemieślnicza w Łodzi: Ogólny widok wystawy.
(Fot. Piotrowski, Łódź).



Wystawa rzemieślnicza w Łodzi: Wejście na wystawę.
(Fot. M. Fuks, Warszawa).

Wystawa rzemieślnicza w Łodzi.

Rok obecny obfituje u nas w wystawy — co należy uznać za objaw bardzo dodatni. Gdy Warszawa ma wystawę sportowo-przemysłową, a Kraków — architektoniczną, obecnie Łódź, ten polski Manchester, może poszczycić się wystawą rzemieślniczą. Jest to dzieło łódzkiej Resursy rzemieślniczej, która pomimo, iż istnieje zaledwie rok, ujawniła wielką żywotność, a przez stworzenie obecnej wystawy zapisała się chlubnie w pracy około rozwoju naszego rękodzielnictwa.

Wystawa rzemieślnicza w Łodzi przedstawia się bardzo sympatycznie i okazale. Udział w niej wzięło 202 wystawców, przeważnie rzemieślników, a całość daje doskonałe wyobrażenie, co Łódź rzemieślnicza wytwarza. Plac wystawy jest bardzo obszerny. Nowy ogród miejski przy ul. Dzielnej, nazwany ogrodem Staszyca, zamieniony został w ruchliwe miasteczko pawilonów wystawowych, gdzie nie brak różnych atrakcyi i miejsc rozrywki.

Celem zaznajomienia prasy polskiej z wystawą, Komitet na kilka dni przed otwarciem wystawy zaprosił przedstawicieli prasy z Królestwa Polskiego do Łodzi, gdzie też przybyło zarówno z Warszawy, jak i z prowincyi bardzo wielu dziennikarzy. Otwarcie wystawy rzemieślniczej w Łodzi połączone było w ten sposób z licznym zjazdem dziennikarzy z całego Królestwa Polskiego.

Illustracye nasze przedstawiają widoki z wystawy oraz epizody z połączonego z nią zjazdu dziennikarskiego w Łodzi.



Tajemnicze zniknięcie w Tatrach: Zaginiona około Czerwonych Wirchów słuchaczka Uniwersytetu Jagielońskiego p-na Aldona Szystowska (X) w gronie uczestników wycieczki.
(Fot Pierzchalski, Kraków).

Sędziwi oblubieńcy.

(Do illustracyi na str. 10).

Swiatu zagraża obecnie jedna z najgroźniejszych klęsk: starokawalerstwo. Coraz większy jest obecnie procent potworów, zwanych starymi kawalerami, a słusznie pogardzanych przez cały rodzaj żeński.

Dla tych zatwardziałych młodzieńców, którzy w dziwnem zaślepieniu nie czują wcale pociągu do małżeństwa, niech posłuży jako godny do naśladowania przykład świeżo zaślubiona w Retowie na Zmudzi para. „Pan młody", nazwiskiem Tomaszewski, w dniu ślubu liczył 105 lat, a „panna młoda" 74. Oboje cieszą się dobrem zdrowiem, a on przytem zachował zupełną świeżość umysłu i dobrze pamięta czasy Napoleońskie.

Czy nie wstyd wam, starzy kawalerowie?



Wystawa rzemieślnicza w Łodzi: Grupa członków komitetu i dziennikarzy. (Fot. Piotrowski, Łódź).

Kronika tygodniowa.

Już sądziłem, że będę w tem przykrem położeniu, co jeden z kolegów po piórze, który referując dla swego pisma sprawozdanie z odbytego we Lwowie wiecu abstynentów, dopiero po siódmym kieliszku Michalikowej morelówki wpadł we właściwy ton i poczuł w sobie natchnienie... Dzięki Bogu spotkało mnie nadzwyczaj miłe rozczarowanie.

Choć kanikuła w całej pełni, a Kraków rzeczywiście opustoszał, nie brakuje nam wcale sensacyi, choćby do nich zaliczyć tylko pożar wieży Maryackiej, strejk mistrzów rondla i patelni, zbuntowanych pono przez „anarchistę“ Wróblewskiego, „Cnotliwą Zuzannę“, która tyle hałasu narobiła, zwinięcie teatru na wystawie architektonicznej i dyskusyę drożyźnianą w krakowskiej Radzie miejskiej.

Ponieważ wieża Maryacka jest najwyższą, jej się też należy słusznie pierwszeństwo.

Ów piorun, który uderzył w jej szczyt, choć go nikt nie słyszał, narobił przecież wiele hałasu w naszych pismach, które przez kilka dni rozpisywały się o strasznej katastrofie pożaru, ugaszonego jedną koneweczką wody i ogłaszały interwiewy, jakie były i nie były.

Skorzystają z tego budynki miejskie, otrzymają bowiem urzędowo piorunochrony, o ile naturalnie nie sprzeciwi się temu ankieta, mająca być w tym celu zwołaną na wniosek radcy Juliana Nowaka, jak bowiem wiadomo, u nas żadna sprawa nie może być definitywnie załatwioną, dopóki nie odleży się w ankiecie, komisyi, komitecie...

Dyskusya w tej sprawie była dość ożywioną, nie w tym jednak stopniu, jak po wystąpieniu radcy Konopińskiego, który zwrócił uwagę na zmniejszenie się w tym roku ruchu przejezdnych, na czem cierpi dotkliwie nasz handel i przemysł.

Sądzono, że przyczyną tego były wiadomości o epidemii ospy, które fizykat ogłaszał z całą sumiennością, przekonano się jednak, że tak nie jest, bo ospy już niema, ale niema także i obcych.

Właściwej przyczyny szukać trzeba gdzieindziej, mianowicie w panującej dziś w Krakowie straszliwej drożyźnie, która z dnia na dzień ciągle się zwiększa. Możemy się poszczycić, że Kraków będzie wkrótce najdroższem miastem w Austryi, sympatyczna serdelka lub para kiełbasek dojdzie z czasem do korony i jak dotąd była pokarmem najbiedniejszych, stanie się przysmakiem sfer uprzywilejowanych.

Radca Konopiński ma najzupełniejszą racyę. Kto, dajmy na to z Królestwa, wybiera się do wód w Galicyi, a choćby i za granicę, chciałby jednak po drodze wstąpić do Krakowa, by poznać jego osobliwości i pamiątki, musi zaopatrzyć się w podwójną ilość monety, bo tutaj tak go obskubią, jak kurczę przed wbiciem na rożen.

Każdy strejk pociąga za sobą wzmożenie się drożyzny, to samo było i ze strejkiem kucharzy. Restauratorzy podnieśli znowu ceny, a zmniejszyli porcye, przepraszając gorąco P. T. Konsumentów i tłumacząc się, że czynią to jedynie z tego powodu, iż zmusza ich do tego stanowisko, jakie wobec nich zajęli kucharze, którzy stawiają żądania, na jakie oni zgodzić się nie mogą, a jeśli będą zmuszeni do ich przyjęcia, to publiczność odczuje to na swej skórze, ewentualnie kieszeni i żołądku.

Od czasu do czasu, odzywają się wprawdzie w Radzie miejskiej głosy, żądające zwołania istniejącej przecież komisyi aprowizacyjnej, działalność jej jednak nie ma tych skutków, jakieby mieć powinna. Wydawać się nawet musi, że władze miejskie nie mogą, czy nie chcą w tym wypadku okazać należytej energii i wziąć w opiekę biednych konsumentów, którzy narażeni są na wyzysk, wprost nie do zniesienia.

Uzasadniając swój wniosek o zwołanie komisyi aprowizacyjnej, podnosi radca Konopiński, że obecne stosunki oddziałać muszą ujemnie na ruch obcych, nie mówiąc już o szkodach, jakie wyrządzają stałym mieszkańcom miasta. Dziś ludzie liczą się z groszem i prowadzą kontrolę cen u nas i gdzieindziej, z przemówień zaś niektórych członków prezydyum wypadałoby wnioskować, że jesteśmy bardzo blizko trustu wędliniarnego, który nas chyba przerobi na jaroszów, be ceny wędlin i tak już wyśrubowane do niemożliwości, pójdą wówczas jeszcze bardziej w górę.

Przyznajemy zupełną racyę wywodom wnioskodawcy i żywimy dlań wdzięczność, że przecież ujął się za krzywdą naszych biednych żołądków. Cieszy nas też jednomyślna uchwała Rady, by zwołano komisyę aprowizacyjną, chcielibyśmy jednak wiedzieć jak najrychlej, co ona postanowiła i jakie dyrektywy wydała magistratowi.

Ale nie tylko sama drożyzna środków spożywczych wpływa na zmniejszenie ruchu przejezdnych, przyczynia się do tego zdzieranie wprost skóry z obcych na każdym kroku, n. p. w sklepach i po hotelach, a także brak uprzejmości wobec nich ze strony tych właśnie, którzy im ją okazywać powinni. A panowie ci powinni pamiętać o tem przysłowiu, które opowiada o tabakierze i nosie i stosować się doń na każdym kroku.

Twierdzenie jednego z kupców krakowskich, zresztą bardzo bogatego i powszechnie znanego: Komu się u mnie nie podoba, niech idzie gdzieindziej! — wygląda wprost śmiesznie, ciekawy jestem, coby tak powiedział, gdyby zbojkotowali jego lokal wszyscy odbiorcy i omijali go z zasady? Sądzę, że chyba nie cieszyłoby go to zbytnio!

Rzecz prosta, że nie mam tu na myśli jakichś nadzwyczajnych wymogów i grymasów kupującej publiczności, którymby kupiec miał ulegać, rozchodzi mi się tylko o tę odrobinę względów i grzeczności, jakiej, jako odbiorcy, mamy prawo wymagać od sprzedającego, który przecież z nas żyje!

Jakże to inaczej jest za granicą! Tam kupiec, rozumiejący swój interes, nie patrzy na odbiorcę z pod oka i nie mruczy, jeśli ten, nic nie kupiwszy, opuszcza jego lokal, owszem żegna go bardzo grzecznie i prosi, by go odwiedził, jeśli będzie czegoś potrzebował.

Być może, że w myśli powie sobie: A bodajżeś pękł! A toś mi tu narobił nieporządku!.. Ile to czasu potrzeba, nim się te fatałaszki uporządkuje... — ale tak może sobie tylko myśli, nie daje jednak poznać po sobie swego niezadowolenia, gdy przeciwnie niektórzy z naszych panów kupców robią, zwłaszcza, wobec mniej wykwintnie ubranej klienteli, takie miny, że ją sobie tem raz na zawsze zrażają.

A pamiętać trzeba, że często pod skromnem płócienkiem lub perkalem znajdziesz więcej uczciwości i poczucia własnej godności, niż pod jedwabiami i aksamitem.

Te ostatnie refleksye, nie mające właściwie nic a nic wspólnego z drożyzną, wpływają jednak także zniechęcająco i na obcych, którzy z tego właśnie powodu omijają nasze miasto, nasunęły mi się zaś z okazyi przemówienia radcy Konopińskiego, a mam nadzieję, że panowie kupcy chyba się o to na mnie nie pogniewają, bo ja to poruszyłem tylko w ich własnym interesie.

A teraz przejdźmy do „Cnotliwej Zuzanny“.

Oj! Dała ona niejednemu bobu! Długo ją będzie pamiętał i powtarzał z goryczą: Gdzie dyabeł nie może, tam babę poszle!

Pan Heller ogłosił repertuar teatralny. Przeszedł on przez cenzurę każdej żony, która, jadąc na świeże powietrze, musiała męża swego zostawić w Krakowie, ale na wyjezdnem wyraźnie mu wyszczególniła: to ci wolno, a tego nie, chyba, aż ja powrócę!

W pierwszej połowie lipca nie schodzi prawie z afisza „Cnotliwa Zuzanna“. Ze względu na ten biblijny tytuł małżonkowie otrzymali pozwolenie od swej prawowitej władzy pójścia na przedstawienie, potem najwyżej na jedną bombkę, tak, aby każdy przed północą był już w domu. Nad wykonaniem tego polecenia czuwa zresztą stróżka, która na wyjezdnem opatrzona została przez panią tajną instrukcyą i obietnicą, że za każdy raport będzie osobno wynagrodzoną.

Ale i małżonek nie w ciemię bity. Jeśli wie, że pieniędzmi u stróżki nic nie wskóra, (choć przysłowie powiada, że obładowany złotem osioł przełazi najwyższe mury — a niewiasty łase są, jak wiadomo, na pieniądze) urządza się w ten sposób, że wraca z przedstawienia dopiero nad ranem, kiedy brama jest otwarta i unika w ten sposób zbytecznej kontroli.

Proszę nie myśleć, że ja tak robię, gdyż mogłoby mnie to narazić na grubą nieprzyjemność!

Ale wracajmy do Zuzanny!

Każdy z mężów, nie mając nic lepszego do roboty, czy otrzymał pozwolenie, czy nie, pospieszył na przedstawienie i, rzecz prosta, wyszedł z niego z tem postanowieniem, że wróci w najbliższym czasie. Jak rzekli, prawdopodobnie zrobili, jeden tylko zgniewał się ogromnie i ogłosił list otwarty, aby ostrzedz słomiane wdowy przed niebezpieczeństwem, jakie grozi ich łatwo zapalnym mężom.

Skutek był nadspodziewany! Już nazajutrz po onym dniu, gdy odnośny numer *Nowej Reformy* i *Czasu* dostał się do Zakopanego, Krynicy, Szczawnicy... zjechało zupełnie niespodziewanie do Krakowa sto trzydzieści siedm żon, z których trzy czwarte nie zastały mężów, ani w domu, ani w biurze...

Gwałt, harmider, tłumaczenia, zapewnienia wierności, ostatecznie chwilowe zawieszenie broni i decyzya:

— Mężu! Rób sobie, co ci się podoba, ale ja muszę być na tem przedstawieniu!...

Trzeba było kilku dni, zanim każdy z nas przyszedł do równowagi, a wszystkiemu temu winna Zuzanna, ona także jest przyczyną, że teatr jest codziennie wysprzedany.

Gdyby tak i teatrzyk na wystawie architektonicznej znalazł był sobie taką Zuzannę, nie musiałby go był zamknąć jego kierownik, który sporo dołożył do tego przedsiębiorstwa. Miejsce teatru ma zająć kabaret pod dyrekcyą Danielewskiego.

Skoro już mowa o wystawie, to wspomnieć muszę o zupełnie słusznych narzekaniach publiczności na kursowanie tramwaju na linii Rynek—Park Jordana.

Zamiast rozpisywać się o tem, podam przykład, którego prawdziwość mogę każdej chwili stwierdzić nawet i przysięgą.

Jeden z mych znajomych, czekając na Rynku na wóz kolei elektrycznej, idący w stronę Parku Jordana, widzi przechodzącą obok swą ciotkę, kobietę podeszłego wieku i nawet lekko sparaliżowaną. Chodzi tylko o lasce...

Podbiega naturalnie ku niej (ciocia jest ciepła) i dopytuje się o cel podróży.

— Idę na mszę św. do Pelczarek... Wiesz, to tam obok Sokoła... — odparła staruszka.

— To może ciocia pozwoli ze mną tramwajem. Ja jadę w tę samą stronę na wystawę!

— Dziękuję ci! Mnie się spieszy, wolę iść piechotą, gdyż spóźniłabym się z pewnością...

Nie mogło mu się to jakoś w głowie pomieścić, wnet jednak doszedł do przekonania, że ciotka miała racyę.

Po długiem a dolegliwem czekaniu wsiadł nareszcie do wozu i rozpoczął podróż ku Błoniom. Przy wjeździe w ulicę Wolską spotkał kuśtykającą ciotkę, ale już w stronę Rynku, wychylił się więc i pozdrowił ją ukłonem.

— A widzisz!... A nie mówiłam!... — rzekła starowina. — Ty dopiero w tamtą stronę, a ja już z kościoła!...

Ów znajomy, który mi to opowiadał, wyjątkowo nigdy nie mija się z prawdą, wierzę mu więc bez jakowychś zastrzeżeń. Pomylić się mógł co najwyżej o pięć minut, a to nie ma absolutnie znaczenia w porównaniu z wiecznością lub choćby tylko z czasem, jakiego potrzeba na dostanie się w powszedni dzień z Rynku na Błonia.

Cierpi na tem i sam tramwaj, bo ludzie wolą chodzić piechotą, niż jechać, cierpi i wystawa architektoniczna, gdyż frekwencya nie jest jeszcze taką, jakąby być powinna!...

Poświęcenie Sokolni w Przemyślanach.

Piękną uroczystość obchodził w ubiegłym tygodniu Sokół przemyślański: poświęcenie własnego gniazda, zbudowanego dzięki zapobiegliwości Wydziału i członków, a pomimo różnych trudności, z jakiemi narodowa praca polska spotyka się na każdym kroku we wschodniej części kraju.

Ceremonii poświęcenia pięknego gmachu dopełnił Najprzewielebniejszy ksiądz biskup Bandurski, witany wprost owacyjnie u bramy tryumfalnej przez kompanię honorową tamtejszego „Sokoła" ze sztandarem i tłumy obywatelstwa miejscowego i okolicznego.

Po powitaniu dostojnego Arcypasterza chlebem i solą rozpoczęły się obrzędy kościelne, w czasie których przemówił ks. biskup gorąco, zachęcając zebranych do pracy dla dobra Ojczyzny i Kościoła i wskazując, że właśnie krzewienie idei sokolej może być bardzo pomocnem w tym kierunki.

Po mszy polowej, w której wzięły udział tysiące pobożnych, odbyło się właściwie poświęcenie gmachu, przyczem wygłoszono cały szereg podniosłych przemówień i odczytano wiele nadeszłych na tę uroczystą chwilę telegramów.

Pochód wypadł nad wyraz wspaniale.



Poświęcenie Sokolni w Przemyślanach: Kompania honorowa Sokołów wita ks biskupa Bandurskiego i gości. (Fot M Münz, Lwów).

Tajemnicze zniknięcie w Tatrach.

Piękny i szlachetny jest sport górski, ale też nie pozbawiony groźnej nieraz emocyi. I nasze Tatry co rok pochłaniają mniej lub więcej liczne ofiary, które za cudne widoki górskie i chęć zdobywania niebotycznych szczytów płacą śmiercią na dnie przepaści. W tych dniach jednak wydarzył się w Tatrach wypadek, który uderza swą tajemniczością.



Poświęcenie Sokolni w Przemyślanach: Msza polowa. (Fot M. Münz, Lwów).

Ofiarą jego padła młoda, przystojna słuchaczka uniwersytetu Jagiellońskiego, p-na Aldona Szystowska, która z większą wycieczką wracała z Węgier do Zakopanego. W Kościeliskiej Dolinie postanowiono odbyć dalszą drogę przez Czerwone Wirchy. Koło Grani p. Szystowska zatrzymała się chwilę, aby odpocząć, a reszta turystów podążyła dalej. Gdy po dłuższej chwili p. Szystowska nie pokazywała się, wrócili wszyscy na miejsce, ale już jej tam nie znaleźli. Wszelkie dalsze poszukiwania nie odniosły żadnego rezultatu — p. Szystowska znikła bez śladu.

Wycieczka powróciła do Zakopanego i tam zaalarmowała Pogotowie tatrzańskie, które rozpoczęło natychmiast poszukiwania — ale bez żadnego rezultatu. Następnych dni liczne ekspedycye przeszukały całą okolicę, ale nie natrafiły nawet na żaden ślad zaginionej.

To tajemnicze zniknięcie p. Szystowskiej jest tem bardziej dziwne, że wydarzyło się w miejscu, gdzie turystom nie grozi bynajmniej żadne niebezpieczeństwo. To też panuje przypuszczenie, że młoda turystka ciesząca się powszechną sympatyą, padła ofiarą morderstwa...

Katastrofa kolejowa w Słotwinie.

Jak dotąd, miała krakowska Dyrekcya ruchu na kolejach stosunkowo dość szczęścia, skądinnąd nadchodziły wiadomości o zderzeniach i wykolejeniach, tutaj było stosunkowo dość spokojnie, choć osławiony „sparsystem" kolejowy zbierał i tu nieraz swe owoce.

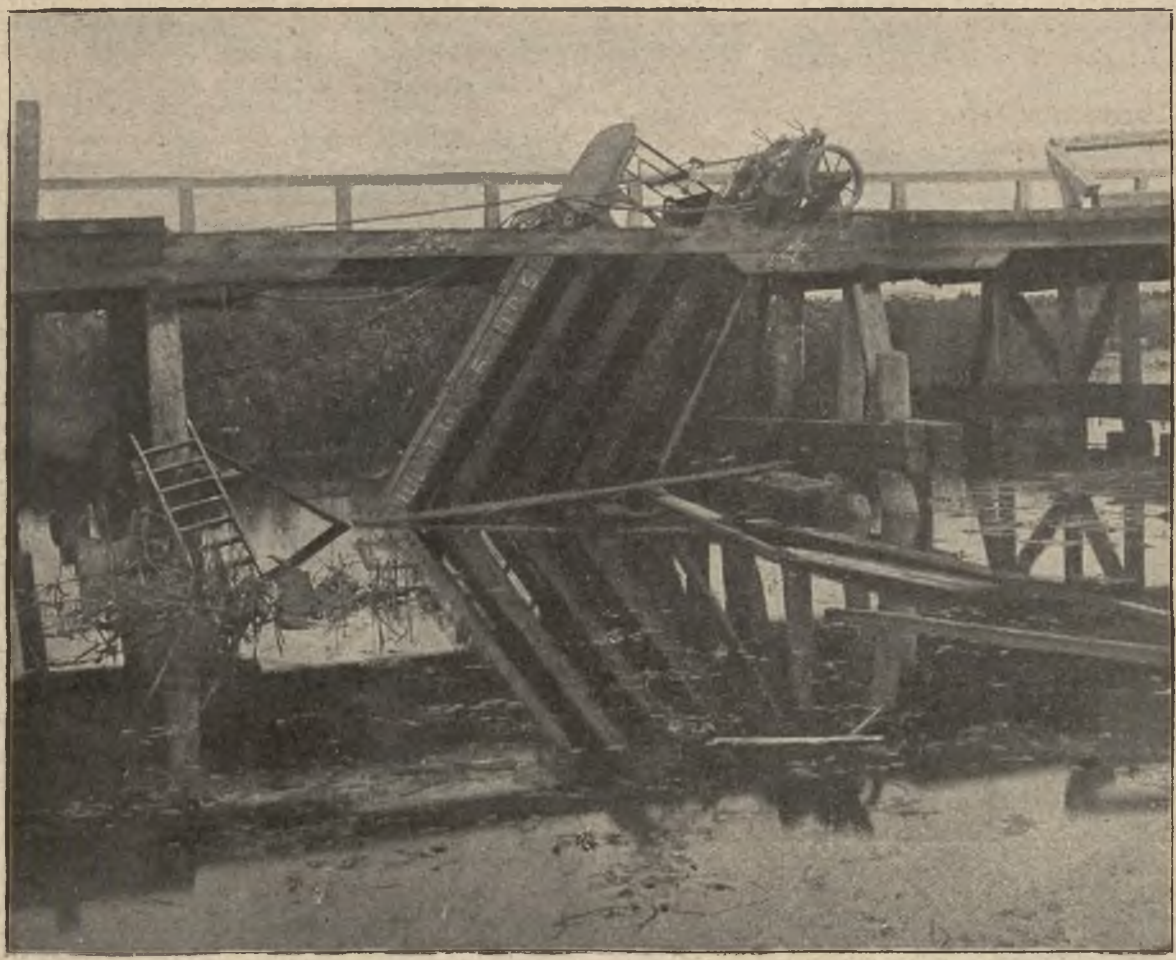
W ubiegłym tygodniu w nocy z piątku na sobotę wydarzyły się natomiast w obrębie krakowskiej



Poświęcenie Sokolni w Przemyślanach: Uroczysty pochód Sokołów.



Katastrofa kolejowa w Słotwinie: Rozbite wagony na miejscu katastrofy.



Automobil w rzece: Zatopiony pod Białą siedlecką automobil firmy Nobla.
(Fot. M. Fuks, Warszawa)

Dyrekcyi prawie równocześnie aż dwa wypadki zderzenia na stacyi kolejowej w Słotwinie i Dębicy.
Oba wypadki dotyczyły pociągów towarowych i tu i tam obeszło się, dzięki Bogu, bez ofiar w ludziach.
Według urzędowego komunikatu była stacya Słotwina-Brzesko o godzinie dwunastej w nocy widownią zderzenia się dwu pociągów towarowych. Ze Słotwiny wyjeżdżał ku Bochni pociąg towarowy, równocześnie zaś wjeżdżał z tej strony takiż sam pociąg, mający iść w stronę Lwowa. Mimo wystawionych sygnałów, maszynista pociągu, wjeżdżającego na stacyę, nie wstrzymał go przed wjazdowemi zwrotnicami i przeciął w środku wyjeżdżający właśnie ze stacyi pociąg idący ku Bochni.
Skutkiem zderzenia zatarasowane zostały obydwa



Polska tancerka w Moskwie: Francesska Beata, tańcząca „Mazurka“ Chopina.

tory lokomotywa bowiem wjeżdżającego pociągu i siedm wozów wyjeżdżającego odniosły bardzo poważne uszkodzenia. Ruch osobowy odbywał się przez cały następny dzień przez przesiadanie, na miejsce katastrofy przybył zaraz pociąg ratunkowy z Płaszowa. Szkody materyalne są znaczne.

Automobil w rzece.

Automobile skutecznie rywalizują z kolejami także i na punkcie... katastrof, a nawet pod tym względem zdołały je prześcignąć. Katastrofy automobilowe mają już swą historyę, a są wciąż na porządku dziennym nie tylko na Zachodzie, gdzie sport automobilowy jest bardzo rozwinięty, ale i u nas. W tych dniach właśnie zdarzył się dość rzadki wypadek podczas wyścigu automobilowego Petersburg Warszawa-Moskwa. Mianowicie gdy samochód firmy Nobla, wiozący benzynę z Warszawy do Brześcia, przejeżdżał pod Białą przez most, ten nie wytrzymał ciężaru i załamał się, a automobil wpadł do wody, jak to widzimy na naszej illustracyi.

Symptomy wojenne.

(Do illustracyi na str. 7).

Szybko zmieniają się obecnie koniunktury polityczne.
Niedawno, jako tryumf dążeń pokojowych polityki austryackiej komentowano dymisyę szefa sztabu jen. Conrada von Hetzendorf, który był zwolennikiem zbrojeń na granicy włoskiej. Dymisya ta była zwycięstwem pokojowej polityki ówczesnego ministra spraw zagranicznych, br. Aehrenthala, który dążył do utrzymania trójprzymierza i najściślejszych węzłów przyjaźni z Włochami.
Niestety, trzeszczące we wszystkich szwach trójprzymierze nie wytrzymało tak niebezpiecznej próby, jak wojna włosko turecka i dziś w sferach decydujących nastąpił znowu zwrot na korzyść poglądów jen. Conrada von Hetzendorfa. Swiadczy o tem powołanie jen. Hetzendorfa na ważne stanowisko inspektora armii w Tyrolu, na pograniczu Włoch.

Polska tancerka w Moskwie.

Taniec klasyczny zyskuje i u nas coraz więcej adeptek. Jedną z nich jest Francesca Beata, tancerka klasyczna, znana z zeszłorocznych występów w Warszawie. Obecnie polska tancerka występuje w Filharmonii w Moskwie, zyskując za swój piękny, pełen polotu artystycznego taniec uznanie publiczności i miejscowej prasy.

Eksplozya na strzelnicy.

(Do illustracyi na str. 3)

Austryacka artylerya odbywa obecnie ćwiczenia w strzelaniu z nowych armat niemieckiego typu,



Wystawa rzemieślnicza w Łodzi: Uczestnicy zjazdu dziennikarskiego w mleczarni wystawowej.
(Fot. Piotrowski, Łódź).

w których rura stalowa ma zastąpić używaną dotąd z kutego bronzu, ten bowiem okazał się mniej wytrzymałym na działanie gazów, wytwarzających się podczas strzału. W tym właśnie celu zażądał minister wojny Auffenberg nowych kredytów, których mu jednak na razie odmówiono.

Prawie równocześnie wydarzyła się podczas strzelania z armat nowego typu straszliwa i grozą przejmująca katastrofa, jakiej kroniki austryackiej artyleryi, stojącej jak wiadomo na bardzo wysokim stopniu rozwoju, dotąd jeszcze nigdy nie zanotowały.

W dniu 8 lipca odbywały się próby z nowem działem na artyleryjskiem polu ćwiczeń w Oerkeny pod Budapesztem. Urządzał je drugi pułk ciężkich haubic, stacyonowany we Wiedniu i stąd się rekrutujący.

Druga baterya tego pułku pod komendą porucznika Brettschneidra z dwunastego pułku artyleryi polowej, zajęta była strzelaniem ostrymi nabojami z nowego działa, gdy wtem włożony do lufy granat, wypełniony większą ilością ekrazytu, przedwcześnie eksplodował i rozerwał działo po prostu na strzępy. Z obsługujących je żołnierzy czterech padło trupem na miejscu, czterech odniosło ciężkie rany, (dwu z nich zmarło bezpośrednio po przewiezieniu do szpitala), czterech lekko. Porucznik Brettschneider, który znajdował się obok, odniósł także poważne obrażenia cielesne.

Miejsce katastrofy przedstawiało obraz grozą przejmującego zniszczenia. Naokoło miejsca, gdzie przed chwilą stała armata, widziałeś tylko jej szczątki i resztki pokrwawionych ciał nieszczęśliwych żołnierzy.

Pogrzeb ofiar odbył się z ogromną pompą przy udziale zastępcy cesarza i tysięcznych tłumów publiczności.

NADESŁANE.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 27.

Trójkąt magiczny:

M	a	l	c	z	e	w	s	k	i
A	t	m	o	s	f	e	r	a	
L	i	s	t	o	p	a	d		
C	y	p	r	y	a	n			
Z	i	e	l	n	a				
E	r	a	z	m					
W	i	n	o						
S	ó	l							
K	u								
I									

Figielek: Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.

Łamigłówka:

M	a	k
k	r	a
a	c	h
r	y	k
o	k	a
o	s	a
n	i	l
w	ą	ż
ł	ż	e
l	ę	k
o	k	o
s	a	k
a	r	a
t	o	k
e	l	y
i	w	o
a	k	r
e	r	a
s	a	n
i	k	a
n	o	c
e	w	a
l	i	n
m	e	n

Bilety wizytowe: Lekarz miejski. Administrator. Lekarz pułkowy.

Zadanie do przestawienia: Dobry żart tynfa wart.

Szarada: Piwonia.

Zadanie do przestawienia: Od przybytku głowa nie boli.

Szarada: Matura.

Łamigłówka literacka:

Rygier
Ostrowski
Matuszewiczowa
Eurypides
Ostrowski
Ibsen
Jeleńska
Urbański
Lipski
Irzykowski
Arystofanes.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: Z. Ciechanowska Stary Sambor, K. Szumańska Rawa Ruska, K. Fuchs Czeremchów, M. Arbesbauer Lwów, J. Gronner Kraków, W. Siuta Widynów, E. Bogdalska Koropuż, D. Sedyńska Zakopane, W. Borkowski Kraków, J. Roland Kielce, Cz. Lipiński Kraków, H. Wiewiórowski Kołomyja, S. Kozłowski Kraków, R Kwaśniewski Sandomierz, P Madejski Kraków, J. Jahoda Cieszyn, S Bukowski Równo, H. Maciejowska Winnica, K. Tombiński Lwów, D. Janik Drohobycz, S. Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, D. Rosenbaum Lwów, M. Lipski Lwów, S. Lichański Sanok, J. Zborowski Radomyśl, Z. Kiciński Władywostok, J. Klappholz Rzeszów, M. Silber Lwów, F. Müller Lwów, K. Lewicki Lwów, I. Oszacki Warszawa, M. Kamocka Piotrków, L Osiński Poznań, H. Srokowska Zamość, M. Olszewska Kraków, J. Gruszczyńska Podgórze, K. Habowska Zwierzyniec, K. Michałowski Poznań, S. Wojczyński Petersburg, Z. Marynowska Olszanica, R. Sauer Sandomierz, K. Radziński Lwów, K. Rylski Poznań, J. Jaworski Zakopane, H Sosnowski Kijów, J. Better Kałusz. M. Pokorska Lwów, S Zachara Krosno, J. Tomaszkiewicz Warszawa, H Łopatyńska Sambor, J. Pick Warszawa, R. Bernatowicz Sandomierz, M Kozik Lwów, F. Horak Oświęcim, T. Nikiel Podgórze, Z. Sperling Wiedeń, J. Chmurowicz Kraków, Z. Nowak Podgórze, H. Tyszecka Warszawa, G. Górski Kraków, R. Szydłowski Radom, K. Dembiński Warszawa, J. Balicki Stanisławów, S. Gadomski Płock, I. Zerygiewicz Stanisławów, D. Medyński Zakopane, L. Korytowski Wiedeń, K. Stankiewicz Warszawa, E. Nowacki Przemyśl, A. Piękoś Lwów, J. Autosz Bochnia, J. Jakubowska Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, S Świrski Lwów, W. Potocka Poronin, W. Bandrowski Lwów, J. Wilczkiewicz Sanok, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Siatka Kraków, H. Piątek Podwołoczyska, S. Lindenbaum Czerniowce, J. Obst Łódź, J. Cisek Kraków, D. Sawicki Lwów, J. Kowalski Lwów, S. Moszyński Stanisławów, J. Kolbuszewski Jasło, L. Domański Krosno, S. Sułkowski Jordanów, S. Rost Rzeszów, M. Zagórska Krynica, D. Engelberg Rzeszów, S. Morawska Lwów, A. Zawada Kraków, K. Domański Iwonicz, D. Knobel Rymanów, J. Cichocki Warszawa, S. Radoszewski Tarnobrzeg, R. Więckowski Poznań, S. Lisowski Krosno, C. Ostrowski Lwów, A. Dużak Kraków, H. Zegartowska Bogucice, G. Czyżewski Jasło, J. Gruber Lwów, G. Obraczay Morawska Ostrawa, S. Gold Witów, F. Blatterfeind Stanisławów, C. Wang Rzeszów, J. Jaglarz Sanok, Z. Serwacki Kraków, H. Bogucki Wadowice, J. Sikorski Sanok, S. Sokołowski Brody, J. Marcinkiewicz Krynica, M. Ciesielski Poznań, J. Łopatkiewicz Jasło, F. Schmidt Cieszyn, J. Krawecki Drohobycz, H. Wojciechowski Sandomierz, A. Biliński Tarnopol, M. Kownacka Skierniewice, J. Misiewicz Lwów, G. Górecki Tarnobrzeg, D. Fink Przemyśl, S. Siegel Tarnów, D. Bogucki Jasło, K. Charzewski Krosno, S. Dzikowski Karlsbad.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **S. Lindenbaum, Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki

Głosy publiczne.

„Konkurs na pracę naukową“. Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie, który postawił sobie za cel podnosić i szerzyć kulturę polską w Stanisławowie, aby ożywić ruch naukowy w tem mieście, ogłasza niniejszem konkurs na pracę naukową objętości 3–12 arkuszy druku, formatu większej 8° z zakresu krytyki literackiej, estetyki, psychologii, historyi, nauk przyrodniczych, społecznych i t. p., tyczącą się zagadnień współczesnych, a nadającą się tak ze względu na temat, jak i opracowanie do rozpowszechnienia. Za pracę uznaną przez sąd konkursowy (którego skład później będzie podany do publicznej wiadomości) jako najlepszą, wyznacza się nagrodę w kwocie 150 koron, z warunkiem, że wszelkie własności do niej przywiązane, przechodzą na Związek naukowo-literacki im. J. Słowackiego w Stanisławowie. Prace z godłem i nazwiskiem autora w kopercie należy przesyłać do wspomnianego Związku na ręce prof. Maryana Piątkiewicza w Stanisławowie ul. Kilińskiego L. 31 do dnia 1 listopada 1912. Nienagrodzone na konkursie prace zostaną autorom zwrócone.

Z **„Cyrku Edison“:** Atrakcyą programu od dnia 19 bm. do 26 bm prócz humorystycznych zdjęć i wstrząsającego dramatu z życia współczesnego będą dawno niewidziane sceny z biblii wspaniale kolorowane, dalej widok Marsylii, jednego z najstarożytniejszych portów.

Dla Krakowian niemałe zainteresowanie przedstawia obraz „Matchu footbalowego rozegranego między drużyną Cracovia a Minori S. E.“ jakoteż produkcye Sokołów w Pradze, które przesuwa przed oczyma widza zawsze wierny sprawozdawca „Dziennik Pathego“. — Zwraca się uwagę P. T. Publiczności, że przedstawienia wieczorne rozpoczynają się o godzinie 8 i pół wieczorem, a kończą się po godzinie 10-tej wieczór.

Z półek księgarskich.

Biblioteka Lwowska. T. XV—XVII. Władysław Łoziński: **Złotnictwo lwowskie.** Lwów 1911—1912 Wydanie drugie, przejrzane i bardzo znacznie pomnożone. Z 30 rycinami w tekście. Nakładem Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Czcionkami Drukarni Jakubowskiego i Spółki.

Tom XVIII. Franciszek Jaworski: **Uniwersytet lwowski.** Wspomnienie jubileuszowe. Z 28 rycinami w tekście, Lwów 1912. Nakładem Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa. Czcionkami Drukarni Jakubowskiego i Spółki.

Towarzystwo miłośników przeszłości Lwowa, mające na celu poznanie dziejowej przeszłości Lwowa, budzenie poszanowania dla jego pamiątek i zabytków, oraz ratowanie od zatraty i gromadzenie ich w zbiorach miejskich, zmierza do tego celu przez wydawnictwo naukowych i popularnych publikacyi z dziejów naszej stolicy.

W myśl § 6 statutu, każdy członek Towarzystwa otrzymuje *bezpłatnie* powyższe wydawnictwa. Wkładka roczna 8 K.

„Lotnik i Automobilista“ poświęcił ostatni numer (Nr. 7) wystawie sportowo-przemysłowej w Warszawie. Rozpoczyna go „Przechadzka po wystawie“. Krytyczny przegląd eksponatów ze szczególnem uwzględnieniem automobilizmu. Z okazyi wystawy zorganizowała też Redakcya ankietę o automobiliźmie w Warszawie i Królestwie, pragnąc na jej podstawie określić przyczyny słabego rozwoju automobilizmu w kraju naszym, oraz sposoby zapobieżenia im na przyszłość W pierwszych odpowiedziach ankiety zabierają głos p p. Mecenas Olszowski, wiceprezes Towarzystwa Automobilistów, Czesław Raczyński, znany sportsman i właściciel garage'u samochodowego, Klemens Starzyński, dyrektor „Varsovie-Automobile“, oraz Stanisław Berson właściciel firmy „Auto Palace“. Dłuższy artykuł o Braciach Wright, z powodu śmierci Wilbura Wrighta, obszerna krytyka ostatniego sezonu wyścigowego, walki atletów, wreszcie bogata kronika sportowa dopełniają treści numeru.

Ze świata kobiecego.



Suknia letnia, przybrana czarnymi obramieniami z futra.



Suknie letnie z tegorocznych wyścigów paryskich: 1. suknia biała jedwabna, przybrana prawdziwą koronką i gazą; 2. suknia z *lingerie,* spódniczka gufrowana; 3. suknia taftowa, żakiecik z czarnej koronki.



Suknia letnia z czarnego jedwabiu.

W obronie przed gorącem.

Nasze panie obecnie niewiele myślą o modach. Przedmiotem trosk są obecnie różnego rodzaju konfitury i konserwy, które zajmują czas naszym gosposiom. Te zaś z pań, które nie poświęcają się gospodarskim zajęciom, kryją się w cieniu drzew przed wielkimi upałami, jakimi nas niebo darzy. A w takich warunkach strój ogranicza się do najkonieczniejszych rzeczy. Tym więc paniom opiszę szlafroczek, który ma dwie zalety: nie potrzeba go szyć, a po drugie jest możliwie przewiewny. Na sporządzenie go potrzeba dla osoby średniego wzrostu $3^1/_2$ m. materyi 150 cm. szerokiej. Materyę tę oblamowuje się jaką ładną bortą. Następnie zaś upina się szlafroczek w formie greckiej tuniki w następujący sposób. Materyę przeciąga się z przodu popod ramiona ku tyłowi, dzieląc ją w ten sposób, że pod lewem ramieniem zostaje około 1 m. zaś reszta pod prawem ramieniem. Następnie z tyłu przerzuca się krótszy koniec przez prawe ramię ku przodowi, spinając materyę na ramieniu w ten sposób, że koniec górny materyi spada ku przodowi jako rękaw. Drugi, dłuższy koniec przewija się przez plecy i lewe ramię, w ten sposób, że spada ku przodowi, tworząc rękaw, jakby u dolmanu, podpięty w połowie. W ten sposób, przyszywszy po dwa zatrzaski na ramionach i kilka zatrzasków u obu końców długości, aby nimi całość umocnić, można sporządzić sobie doskonały szlafroczek w bardzo tani i wygodny sposób.

Również bardzo wygodne są matinki z chustek chłopskich. Potrzeba na ich sporządzenie czterech lub pięciu chustek. Z czterech chustek robi się szlafroczek w ten sposób, że zeszywa się po dwie chustki na plecy i dwie na przód, tak, iż tworzą one rozłożone podłużny prostokąt. Następnie zeszywa je się ukośnie ku środkowi od dwóch dolnych kątów prostokąta, tworząc w ten sposób rękawy, u góry, w środku prostokąta, gdzie schodzą się chustki, pozostawia się niezeszyte kawałki w tylnym szwie, oraz zaczyna się z przodu zapięcie trochę niżej, przez co tworzy się karczek wycięty w szpic z przodu i z tyłu. Można taką matinkę zrobić także z pięciu chustek, wtedy jednak chustki zeszywa się w ten sposób, że u karczka schodzą się wszystkie chustki jednym rogiem. Wtedy jedna chustka tworzy plecy, dwie chustki tworzą rękawy, zaś dwie tworzą przód. Aby zrobić karczek, zakłada się końce, przez co tworzy się pięciokąt.

Matinki robione w ten sposób mają tę zaletę, że chustek nie trzeba zupełnie ciąć. Jeśli zaś dobierze się chustki w ładnych kolorach, wtedy można mieć bardzo ładną rzecz, a zarazem ubranie bardzo przewiewne.

Ponieważ suknie z tafty okazują się na lato za gorące, ograniczono użycie jedwabiu i tafty do robienia z nich krótkich, wolnych żakiecików, które nosi się na suknie z *lingerie* lub innych lekkich materyałów. Obok tafty zaś stanęły do współzawodnictwa tiule. Ponieważ moda obecna pozwala na noszenie dosyć dużych wycięć przy letnich sukniach, nasze panie w chłodniejsze dni lub wieczory osłaniają swe szyje riuszami tiulowemi, noszonemi w rozmaitych kolorach, a związanemi w środku puklem z wstążki atłasowej. Bardzo efektowne są również zarzutki, robione z tiulu, zazwyczaj w kolorze białym lub różowym. W dziedzinie bluzek najmodniejszemi są bluzki z tiulu *roséveré,* zaś kapelusze podszywa się bardzo chętnie tiulem, aby w ten sposób stworzyć piękne tło dla ładnej twarzyczki.

Na zakończenie wspomnę jeszcze o jednej nowości, która zapewne ucieszy nasze panie, lubiące elegancko się ubierać. Moda obecna propaguje suknie przeważnie dosyć krótkie. To też odsłaniają one dosyć wysoko nóżkę, pozostawiając szerokie pole popisu dla pończosznikarzy i szewców. Zwłaszcza ci ostatni bardzo skrupulatnie skorzystali z tego, że moda zwróciła uwagę na buciki.

Stało się to zresztą bardzo słusznie, gdyż nic tak nie szpeci całości eleganckiej toalety, jak brzydki bucik. Najmodniejszymi są dwa fasony bucików: głęboko wycięte pantofelki, oraz półbuciki z paskami w przodzie. Paski jednak nie idą prosto, jak dotychczas, ale ukośnie na krzyż i zamiast guziczków mają małe gumki oszyte. Fantazya szewców wprowadziła także buciki ze skóry w dwóch kolorach, której jedna jest aplikowana drugą, oraz buciki robione z pasków skórzanych dwukolorowych, plecionych. *W.*



Suknie letnie z wyścigów paryskich: 1. suknia jedwabna, spódniczka pokryta tuniką tiulową gufrowaną, żakiecik ruski gipiurowy; 2 suknia taftowa z tuniką podpiętą jako *panier* haftowaną.



Piłki nożne



LAWN-TENNIS

Rakiety, prasy do tychże.
Piłki, siatki i wszelkie przybory sportowe.



Wrotki
ameryk. łyżwy na kółkach.

APARATY GIMNASTYCZNE
angielskie, systemu Autogymnast Whitely Sandow's i inne polecone przez największe powagi lekarskie do wyrobienia siły i muskularnych kształtów ciała.

PRZYBORY RYBOŁOWCZE
w największym wyborze.

Najlepsze FARBY OLEJNE
Lakiery, emaile, glazury bursat. Masa francuska, Cirine i wosk
Środki do czyszczenia metali.
Nowość! „PERRUGINOL" Guma szmirglowa na rączkach do czyszczenia metali — praktyczna Nowość!

polecają najtaniej

Reim i Ska, Kraków

Rynek 37, Linia A-B.

Kule i kręgle z Lignum Sanctum i z drzewa miękkiego.
KROKIETY.
Nowość! Hanaka pat. maszyna froterująca i woskująca równocześnie, sztuka K 24·—

PERFUMY, MYDŁA, PUDRY i KREMY

z najsłynniejszych fabryk krajowych i zagranicznych.
Najświeższe nowości zawsze na składzie.
Środki i aparaty do odświeżania powietrza w pokojach. Grazya Matuli do wąsów.
Woda kolońska i perfumy na wagę.

Artykuły toaletowe i kosmetyczne





ogłaszane w „Tygodniku" i „Swiecie" warszawskim zawsze na składzie.

MYDŁA
o silnych zapachach 1 kg. Kor. 1·80.
Kwiatowe w karton. 6 szt. Kor. 1·—.

Środki do barwienia i konserwowania włosów.

Kantor wymiany „Merkury"

Braci Eibenschütz w Krakowie
przeniesiony został
do „Szarej Kamienicy", ul. Sienna L. 1
tuż przy Rynku głównym
i poleca po kursach najtańszych **LOSY**
za gotówkę lub na spłaty miesięczne z natychmiastowem prawem gry.

Losy tureckie 400 frank.
mają rocznie 6 losowań: 1/2, 1/4, 1/6, 1/8, 1/10 i 1/12
gł. wygr. wynoszą **400.000** i **200.000** frank.
spłaty po 8 koron (3 ruble) miesięcznie.

Wydawnictwo Gazety Losowań i handlowej **„MERKURY"** (14 rocznik).
Prenumerata caloroczna 8 kor. 60 hal., (do Królestwa 2 ruble).

TANIE

i dobrze idące zegarki wszelkiego rodzaju z 3-letnią pisemną gwarancyą, jako to: niklowe zegarki kieszonkowe K 4·—, lepsze K 5·—, zegarki srebrne K 8·40, nikl. budziki K 2·90, zegary kuchenne K 3·—, z kukułką K 6·80, pendułowe K 8·50 w najbogatszym wyborze
I-sza FABRYKA ZEGARKÓW
HANNS KONRAD
c. k. dostawca dworu
w Brüx Nr. 2958 (Czechy)
Katalog główny darmo i opłatnie.

Cztery tygodnie na próbę



i dla oglądnięcia wysyłam moje znakomite rowery marki **„BOHEMA"** i gwarantuję pisemnie za dobre wykonanie i materyał. Reperacye i części składowe jaknajtaniej.
F. Dušek, fabryka rowerów **w Opočno** stacya kolei państw. 2066 (Czechy). Illustr. cenniki darmo.

500 Koron!!

zapłacę temu, komu moja maść „Ria" niszczycielka korzeni w trzech dniach bez bólu nie usunie nagniotków, skóry zrogowaciałej i kurzawek. Cena 1 słoika razem z pisemn. gwarancyą K 1·—
Kemény, Kaschau
I. Fach poczt. 12/59, Węgry.

Fabryka gorsetów C. P. à la Sirène

Société Anonyme Française
Paris, 13 rue des Petits-Hôtels

pozwala sobie zwrócić uwagę Szan. Publiczności, głównie Szan. PP. Lekarzy i Akuszerek, że tylko znana firma:

c. i k. nadworny i kameralny dostawca

HERMAN PIESEN

Kraków, ul. Grodzka L. 4

z filiami we Wiedniu, Lwowie i Morawskiej Ostrawie

posiada **prawo wyłącznej sprzedaży** powszechnie **znanych** i **jedynie** przez **fabrykę gorsetów C. P. à la Sirène wyrabianych patentowanych**

Opasek „La Nea"

Prof. Dra Fr. Glenarda w Paryżu i że opaski te **żadnej innej firmie** prócz wyżej wymienionej **dostarczane nie są.**

Należy zwracać uwagę na stempel
C. P. à la Sirène i „La Nea" Ceinture sangle du Dr. Fr. Glénard brevet A. L. Paris.

Z wysokim szacunkiem
Farcy & Oppenheim.



ŚCIBOROWSKI.K

Kraków, Floryańska 13
poleca
NA SEZON WIOSENNY i LETNI

Płaszcze angielskie,

kostyumy, bluzki jedwabne, wełniane i etaminowe, **szlafroki, sukienki** batystowe i etamin, **szale, rękawiczki, pończochy** i t. d.

SZCZOTKI DO SUKIEN, WŁOSÓW, ZĘBÓW i PAZNOKCI ...

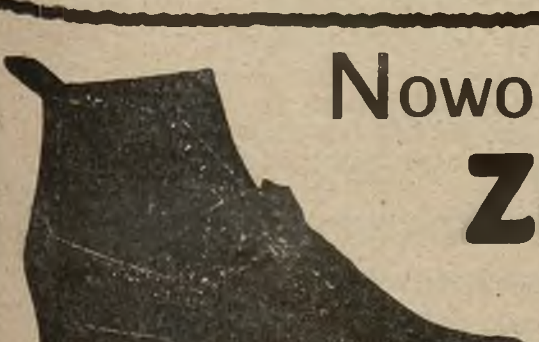
POLECA
STEFAN PORĘBSKI, KRAKÓW, RYNEK 32.

WIELE OSZCZĘDZA SIĘ

przy używaniu moich **maszynke do strzyżenia brody i włosow,** które sporządzone z I-a stali solingerowskiej, doskonale niklowane są nadzwyczaj praktyczne. Nr. 9150. I-a gatunek z 2-ma wysuwającymi się grzebieniami, strzyże przez podwójne zęby, wysokość strzyżenia bez grzebienia 3 mm., z cienk. wysuwającym się grzebieniem 7 mm, z grubym grzebieniem 10 mm, szerokość powierzchni strzyżenia (19 zębów) 4 1|2 cm., za sztukę wraz z rezerw. sprężyną i sposobem użycia, tak że nawet zupełny laik zaraz strzydz może K 5·—. Nr. 9154 Dobra maszynka do strzyżenia z otwartą spręż., komplet K 4·80. Nr. 9155. Maszynki do strzyżenia brody bez grzebieni do wysuwania, 1 mm. wysokości strzyżenia, komplet K 4·50. Maszyny należy ciągle dobrze naoliwiać.



Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy!
Wysyłka za zaliczką przez c. k. nadw. dostawcę
Hanns Konrad Dom wysyłkowy w Brüx Nr. 2933 (Czechy)
Katalog główny z 4000 odbitek wysyłam na żądanie każdemu darmo i opłatnie.



NOWO OTWARTY MAGAZYN OBUWIA

ZDZISŁAW ZDANOWICZ

KRAKÓW, UL. SZCZEPAŃSKA L. 7 — TELEFON 516.

poleca najlepszej jakości i trwałości

obuwie dziecięce, damskie i męskie.

JACQUES FUTRELLE.

Zadziwiająca kobieta.

Tłum. z angielskiego.

14

W tej chwili zachowanie jego zmieniło się i rzekł chłodno:

— Teraz muszę zobaczyć się z wynalazcą.

— Pan nie może się z nim widzieć. Pan będzie zabity, jeżeli...

— Czy mogę widzieć się z wynalazcą? — przerwał Mr. Grimm.

Przez chwilę młoda kobieta patrzyła nań, blada śmiertelnie. Potem spuściła oczy i usunęła się.

Mr. Grimm wszedł, zamknęła za nim drzwi i rzekła spokojnie:

— Możemy teraz porozmawiać przez parę minut bez przeszkody.

— Proszę zrozumieć, Miss Thorne, że muszę widzieć się z wynalazcą, bez względu na to, kim on jest. Jaką pewność pani mi daje, że to nie jest wykręt, żeby pozwolić mu uciec?

— Daję panu na to moje słowo honoru! — odparła poprostu.

— Proszę mówić — rzekł Mr. Grimm, siadając.

— Pan go zobaczy — i to zawcześnie — obawiam się o to. Jeżeli pan do niego nie pójdzie, to on przyjdzie do pana.

Zatrzymała się, zakrywając oczy dłonią.

— Dałby Bóg, żeby było w mojej mocy uprzedzić to spotkanie — krzyknęła rozpaczliwie.

— Są pewne rzeczy, które muszę panu wytłumaczyć — mówiła dalej z pewnym wysiłkiem. — Może wówczas odejdzie pan z własnej woli. Jeżeli opowiem panu o każdym kroku, jaki uczyniłam w Waszyngtonie, jeżeli wyjaśnię panu wszystkie ciemne punkty tej strasznej intrygi, jeżeli dowiodę panu, że umowa państw łacińskich jest zniszczona nie tylko na papierze, — czy to panu wystarczy? Czy wówczas pan odejdzie?

Mr. Grimm zacisnął zęby.

— Nie żądam tego od pani — odparł.

— Lecz, jeżeli mimoto — opowiem panu to wszystko!

— To nie będę słuchał, Miss Thorne. Kiedyś pani powiedziała mi, że nigdy nie zawiodła się pani na mnie. Tak samo ja nie zawiodłem się na pani. Nie chcę więc teraz mieć zawodu. Sekrety pani rządu mogę poznać o ile zechcę, lecz nie chcę o nich słyszeć od pani.

— Mój rząd! — powtórzyła młoda kobieta pobladłemi ustami. — Ja... ja nie mam rządu... Jestem odrzucona przez mój rząd, pozbawiona pozycyi społecznej i ogłoszona, jako zdrajczyni...

— Zdrajczyni? — powtórzył Mr. Grimm.

— Widzi pan — mówiła — hańba jest nagrodą błędu. Książę d'Abrouzzi tamtej nocy odjechał do Nowego Jorku, przesłał depeszę o zniszczeniu umowy memu rządowi i odpłynął do Europy. Ja jedna byłam odpowiedzialną za wszystko i teraz to się zwróciło przeciwko mnie.

Zamilkła na chwilę.

— To jest oryginalne, — Mr. Grimm, walczyliśmy od pierwszej chwili poznania — my dwoje — i pan wygrał.

ROZDZIAŁ XXVI.

Mr. Grimm siedział z ukrytą twarzą w dłoniach, nie mogąc znaleźć słowa odpowiedzi. Nie mógł się cieszyć wygraną, gdyż cios, wymierzony przeciwnikom, trafił najmocniej w kobietę, którą kochał.

— Niema wstydu w przyznaniu się do klęski, gdy się odważnie walczyło, — ciągnęła dalej Isabel. — Są może pewne nieznane okoliczności, które dziś chętnie panu wyjaśnię. Przyjechałam do Waszyngtonu z nadaną mi przez mego panującego władzą, która przewyższała nawet władzę ambasadora.

Po przyjeździe zmusiłam hrabiego Rosini do uzyskania zaproszenia dla mnie na bal.

Tam miałam spotkać się z przedstawicielem Rosyi, który miał mię powiadomić o przystąpieniu Rosyi do umowy, lub nie. Wiadomość tę otrzymałam, nie mówię, jaką była, gdyż teraz jest to już obojętne.

Czy pamięta pan wieczór, w którym spotkaliśmy się po raz pierwszy? Było to wtedy, gdy książę d'Abrouzzi strzelił w sennora Alvareza. Zrobił on to, aby zawładnąć papierami, które miał przy sobie sennor Alvarez i które miały nas poinformować o zamiarach meksykańskiego rządu względem naszego spisku. Lecz niestety były to zupełnie inne dokumenty, które nas nic nie obchodziły.

— Tak, wiem o tem — zauważył Mr. Grimm.

— Lecz nie wie pan o tem, — iż tejże samej nocy Niemcy przyłączyły się do nas. Mr. Rankin, który był czasowo przy niemieckiej ambasadzie, powiadomił mnie o tem. Omdlenie moje tego wieczora było udane w celu usunięcia się z przed pańskich oczu.

— Domyślałem się tego.

— Telegrafowanie wachlarzem było również w celu zmylenia Pana. Było ono także umówionym znakiem porozumienia się z Mr. Rankinem, a właściwie środkiem poznania się, gdyż do tej chwili nie widzieliśmy się nigdy w życiu. Następnym razem spotkaliśmy się w wenezuelskiej ambasadzie, gdy pan mnie badał w sprawie kradzieży pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Ja sama skradłam te pieniądze i później bez wahania oskarżyłam o to inną kobietę. Zmusiłam, aby pan uwierzył, iż uczyniła to Senorita Rodriguez i zwróciłam panu pieniądze, znajdujące się w jej pokoju. Tylko, że to był nie jej pokój, lecz mój. Wszystkie szczegóły kradzieży były opracowane z myślą, aby podejrzenie padło na Senoritę Rodriguez. Ona jeździła z Mr. Cadwalladerem do mieszkania Mr. Sriswolda w Baltimorze, który nam zdradził tajemnicę otwierania kasy. Oczywiście nie mieliśmy wcale zamiaru zatrzymania pieniędzy. Kradzież była zrobiona tylko w celu odwrócenia pańskiej uwagi od złamania zamku w skrytce, zawierającej potrzebne nam dokumenty. Znajdowały się one w zapieczętowanej kopercie. Pieczęcie ostrożnie zdjęłam, przeczytałam papiery, dotyczące naszej umowy, następnie włożyłam napowrót do koperty, przykleiłam pieczęcie i schowałam w skrytce. Nikt nie podejrzywał, iż koperta była otwierana.

— Oprócz mnie, poprawił Mr. Grimm.

— Nastąpiło porwanie Mr. Boisségura, ambasadora Francyi. Udawałam, że pomagam panu w wyśledzeniu tej sprawy, aby dowiedzieć się jakimkolwiekbądź sposobem, czy, i jak dużo pan wie o naszym spisku. Co się zaś tyczy porwania ambasadora, to uczyniliśmy to dlatego, iż w ostatniej chwili zaczął się wahać i chciał cofnąć się z podpisaniem umowy. Postanowiliśmy więc przetrzymać go w zamknięciu, pókiby nie nadeszły rozporządzenia wprost z Paryża. Co prawda udało mu się uciec, lecz na szczęście nasi ajenci dopędzili go i porwali powtórnie, tej nocy, gdyśmy razem z panem czuwali w ambasadzie francuskiej. Ciemność zupełna przeszkadzała panu odpędzić napastników, ja zaś, udając, że pomagam panu w szukaniu guzika od światła, trzymałam przez cały czas walki rękę na nim i takim sposobem umożliwiłam ucieczkę naszym ajentom, uprowadzającym więźnia.

— To wszystko, reszta jest panu znana, — zakończyła Miss Thorn. — Zmusił mnie pan przez ciągłe szpiegowanie do opuszczenia wenezuelskiej ambasady i przeprowadzenia się do jednego z większych hoteli, gdzie ciągły ruch pozwalał mi łatwiej wymykać się bez zwrócenia uwagi pańskich ajentów. Ucieczkę księcia sam pan urządził, a więc zna pan wszystkie okoliczności. Reszta jest panu znana równie dobrze. Ostatecznie nie moja to wina, iż nasze plany nie doszły do skutku, gdybym się nie była poddała chęci pójścia do samotnego domku, gdzie pan był uwięziony, umowa dzisiaj byłaby podpisana.

— Rozumiem — powiedział Mr. Grimm, patrząc z miłością w oczy swej towarzyszki. — Gdyby nie chwilowy poryw dobroci pani dla mnie...

— Bylibyśmy pomimo pańskich starań urzeczywistnili nasze zamiary — mówiła Isabel. — Baliśmy się ciągle pana, Mr. Grimm. To jest chyba wyraz największego uznania.

— I gdybyście podpisali umowę — zauważył Mr. Grimm — tem samem wciągnęlibyście cały świat w straszną wojnę.

— Nigdy o tem właściwie nie myślałam — odpowiedziała szczerze. — Pociągała mnie właściwie największa walka umysłów przy przeprowadzeniu całej intrygi. Byłam przytem zawsze stroną wygrywającą, aż do chwili pierwszej i ostatniej porażki. Chybiłam. Nagrodą moją jest miano zdrajczyni!

— Muszę pana upewnić — ciągnęła dalej po chwili milczenia — iż pokój całego świata jest dzięki panu zapewniony, — planny nasze są zniszczone raz na zawsze. Może mam panu jeszcze powiedzieć, kto ja jestem? Mój ojciec był ambasadorem włoskim w St. James. Moja matka była Angielką. Urodziłam się w Anglii i tam początkowo wychowywałam się; stąd pochodzi moja doskonała znajomość języka angielskiego. W Rzymie nazywam się, lub właściwie nazywałam się hrabianką Rosą Orsetti; teraz jestem nędzną wygnanką, choć niedawno jeszcze byłam przyjaciółką mojej królowej.

Wyciągnęła rozpaczliwym ruchem ręce przed siebie. Mr. Grimm uchwycił je w swoje dłonie i patrząc z tkliwością w jej oczy wyszeptał:

— Zadziwiająca kobieta!

— Teraz pozostaje mi tylko prosić pana o jedną łaskę. Aby się pan zadowolił tem, co usłyszał odemnie i odszedł stąd, nie starając się widzieć z wynalazcą tej złowrogiej maszyny.

Wstrząsnęła się, jakby ze strachu przed czemś przewidywanem i zwracając na Mr. Grimma swe cudne oczy powtórzyła prośbę: — Proszę, odejdź pan stąd!

„Odejdź!" to jedno słowo otrzeźwiło Mr. Grimma. Gwałtownym ruchem puścił ręce proszącej, rysy twarzy jego przybrały jakiś twardy wyraz. Przypomniał sobie, w jakim celu tu przyszedł.

— Nie! — odpowiedział krótko.

— Pan musi, pan musi odejść. Ja wiem, dlaczego pan tu przyszedł: aby poznać tajemnicę wynalazku. Ale to jest niemożliwe, nikt tego nie zdoła uczynić. Nikt nie zna tak dobrze wynalazcy jak ja, a przecież także nic nie wiem o tej piekielnej maszynie. Jeden tylko wynalazca posiada tajemnicę zbudowania jej, a nie sprzeda tej tajemnicy panu, podobnie jak pan nie sprzedał swego milczenia księciu d'Abruzzi. Umowa nie przyszła do skutku, ajenci wszyscy rozprószyli się. Czyż to panu nie wystarcza?

— Nie — odpowiedział Mr. Grimm. — Mam polecenie od mego rządu, które muszę spełnić.

— A gdybym panu powiedziała, iż moje bezpieczeństwo zależy od tego, czy pan odejdzie?

— Nie!

— Lecz pańskiemu życiu grozi tu niebezpieczeństwo, a to życie jest dla mnie drogiem!

— Nie odejdę!

Isabel rzuciła się na kolana przed młodym człowiekiem.

— Ten wynalazca — mówiła w rozpaczy — jest na pół obłąkany. Pan zniszczył jego nadzieje, on nie będzie miał litości dla pana. Odejdź stąd!

— Nie mogę!

— Jeden z was musi przy spotkaniu zginąć!

— Nie mogę odejść!

Mr. Grimm wyjął z kieszeni rewolwer.

Przyspieszone kroki dały się słyszeć. Mr. Grimm odwrócił się od klęczącej i oczekiwał spokojnie z rewolwerem w ręku.

— Wielki Boże! — krzyknęła Isabel, zrywając się. — To mój brat!

Jednym skokiem była przy drzwiach i przekręciła klucz w zamku.

— Pani brat?!...

— Czemu pan mnie nie usłuchał, czemu? Boże zmiłuj się!

Ktoś szarpnął drzwiami z drugiej strony. Isabel wyciągnęła błagalnie ręce ku Mr. Grimmowi.

— Proszę otworzyć drzwi!

— On pana zabije!

Wyczerpana rzuciła się na krzesło, ukrywając twarz w dłoniach. Mr. Grimm wtedy podszedł do niej, schował rewolwer do kieszeni i usunąwszy jej ręce, popatrzył w załzawione, obłąkane rozpaczą oczy.

— Kocham panią — powiedział — chcę, aby pani wiedziała o tem.

— I ja kocham — odpowiedziała poprostu Isabel.

Mr. Grimm wyprostował się, podszedł ku drzwiom i otworzył je. Mały, nieokreślonego wieku człowieczek ukazał się w nich i jednocześnie rozległ się wystrzał. Kula nie trafiła w Mr. Grimma. Rzucił się na strzelającego, aby mu wydrzeć broń z ręki. Wśród walki rewolwer wystrzelił i Mr. Grimm uczuł, iż przeciwnik jego zaczyna słabnąć. Puścił go. Tym razem strzał, choć przypadkowy, był celniejszy. Trafiony w skroń nieznajomy, leżał bez życia na podłodze.

Mr. Grimm zwrócił się ku Isabeli. Leżała bez przytomności obok krzesła. Rzucił się w śmiertelnym strachu ku niej. Otworzyła na chwilę oczy i znów zemdlała. Pierwsza kula trafiła ją w ramię, lecz rana na szczęście nie była głęboka. Mr. Grimm uniósł ją z ziemi i złożył na otomanie, następnie zaś wszedł do pracowni zmarłego i zatelefonował do najbliższego posterunku policyjnego, rozkazując, aby paru ludzi przybyło na miejsce wypadku, po wytłumaczenie zaś tegoż, aby udali się do niego później już w Waszyngtonie.

W chwilę później opuścił Mr. Grimm samotny dom, niosąc ostrożnie ranną Isabel na rękach. O parę set kroków od domu oczekiwał na niego automobil. Umieściwszy w nim Miss Thorn, zwrócił się ku szoferowi.

— Do Waszyngtonu — rozkazał — tak prędko jak można!

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda nam imię i nazwisko znakomitego polskiego uczonego.

□
— □ —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —
□
— — □ — —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— □ —

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ryba. 3 Miasto w Galicyi. 4. Bogini kwiatów 5 Rodzaj zębów. 6. Samogłoska. 7. Las szpilkowy sybirski rosnący na bagnach. 8 Miasteczko podgórskie w Galicyi 9. Król izraelski. 10. Odraza lub niechęć. 11. Miasto w północnych Włoszech. 12 Imię męskie. 13. Góra w Azyi 14 Rodzaj zboża. 14 Angielska miara powierzchni.

Kwadrat magiczny.

Ułożył J. Zugaj, Wilamowice.

Podane litery w ten sposób poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a	a	a	a
e	m	n	n
n	n	o	o
r	t	t	t

Znaczenie wyrazów: 1. Wulkan w Europie. 2. Godło władzy królewskiej. 3. Akt dyplomatyczny. 4 Kolonia francuska.

Szarada.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Pierwsze wraz z trzeciem znana to roślina,
Która nam miłość boską przypomina,
Drugie zaś z trzeciem miłe jest dla ucha,
Przyjemność temu sprawia, kto go pilnie słucha;
Wszystko bywa na ziemi udziałem człowieka,
Wszędzie go też dogoni, choć przed niem ucieka.

Bilety wizytowe.

Ułożył A. Lorencki, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć godność lub zawód poszczególnych osób

TOMASZ E. RYSKI
Krajsk

ZENON L CZAPTYCKI

Łamigłówka.

Ułożył S. Kowalówka, Kraków.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą zdarzenie z ostatnich dni.

— ęp
— ok
— yś
— wa
— an
— ot
— og
— do
— is
— ak
— li
— ak
— an
— ak

Trójkąt magiczny.

Ułożył Teodor Perlberger, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy poda nazwisko znanego polskiego literata, pionowy jego imię.

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — — —
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2 Rzeka w Galicyi. 3. Broń palna. 4 Miejscowość znana z historyi polskiej. 5 Kraj w Europie. 6. Imię żeńskie 7. Rzeka w Niemczech. 8 Zwierzę. 9. Rzeka w Szwajcaryi. 10. Spółgłoska.

Przysłowiówka.

Ułożył Jan Szymanek, Stary Sambor.

Z każdego przysłowia wyjąć trzy razy idąc z góry na dół, po jednej literze i ułożyć z nich znane polskie przysłowie.

1) Znaleźli się, jak w korcu maku.
2) Za króla Sasa, było chleba do pasa.
3) Znikło jak kamfora.
4) Wolność Tomku w swoim domku.
5) Obiecanka cacanka, a głupiemu radość.
6) Czem skorupka za młodu nawrze, tem na starość trąci.
7) Choć bieda w kamienicy, to hoc na ulicy.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *H. Rzewuskiego:* **Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego.** 3 tomy.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Wacław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.